Zeszyt II

K. Brodziński.

Wspomnienia młodości

arkusz 12 ½.

Wspomnienia Mojéj Młodości

przez

Kazimierza Brodzińskiego

Urodziłem się r. 1791. z ojca Jacka, z matki Franciszki Radzikowskiéj. Od urodzenia tak byłem szczupły i słabowity iż doktór powiedział rodzicom, że więcéj nad tydzień na téj ziemi bawić nie mogę. Umarł on na parę tygodni po téj wróżbie, a pamiętam, iż dziecku jeszcze, pokazywano mi grób jego, po którym w zemście zał téj wyrocznię skakałem. — Jak później od ciotek i służących słyszałem, nie byłem od matki lubiony, szczególniéj dla mojéj słabowitéj postaci, i najwięcéj wrodzonéj staranności wiejskich kobiet winien jestem moje dziecinne wychowanie. —

Ojciec mój był naprzód plenipotentem starosty Frederyka Moszyńskiego w starostwie lipnickiem, a później dzierżawcą tychże dóbr. Do śmierci mojéj matki mieszkał w ~~krakowskiem~~ Królowce, wsi tegoż starostwa gdzie się urodziłem. Miejsce to, które się dziś miléj

nad wszystkie przedstawia mojéj pamięci, jest istotnie piękne ze swojego położenia. Dwór staroświecki z narożnikami i z ogrodem w jak najprościejszych szpalerach. Po jednéj stronie staw obszerny, w około którego rozległe trawniki rzędami lip wysadzone; za niemi góry ozdobione rozrzuconemi chatami, drzewami owocowemi wszelkiego rodzaju, a najwięcéj zasadzone chmielem, który umajając gęsto zasadzone tyki, całéj okolicy postać winnicy nadawał. Na wschód łąka w nizinie, często wodą zalewana, przez którą długie kładki do prostego wiejskiego kościoła prowadziły. Kościołek ten stary, drewniany, otoczony smętarzem i lipami, oddalony od wsi, na wzgórku, miał postać dziwnie malowniczą.—

Dziecinną moją zabawą było najwięcéj nabożeństwo. Mieliśmy w jednéj wielkiéj i pustéj sali ołtarz wzięty umyślnie do tego, ze zburzonego w sąsiedztwie kościoła; najstarszy brat mój Andrzej, jedyny rodziców kochanek, był zawsze celebrującym, my mniejsi, szczęśliwi, żeśmy za nim z dzwonkami

chodzili. W dniach oznaczonych naśladowaliśmy wszelkie uroczystości kościelne; dzieci wiejskie składały naszą osobną parafiję, a święto Bożego Ciała, znalezienie Stº. Krzyża, obchodzone było processiją najuroczystszą w kapach ze złotego papieru i t. d. Aż przez emulacyją o pierwszeństwo w processyi, starszy odemnie brat, wrzeczkę utrącony został, poczem nie mieliśmy w naszych obrzędach tyle wolności. + Matki mojéj wcale nie pamiętam, miałem lat 5, gdy mnie odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat najżywiéj pamiętam, jest pogrzeb mojéj matki. Jéj postać w trumnie, aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była, i do pieśni, które ubodzy nad jéj ciałem przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie; równie jak przepowiednią księdza, który wtenczas do nas powiedział: Dzieci! będzie was biła macocha. Ksiądz ten w tydzień po mojéj matce umarł. W późniejszych latach sługi i kobiety wiejskie, wiele mi o dobroci matki opowiadały, co najwięcéj słuchać lubiłem, i im jedynie winienem to

+ a capit.

przywiązanie do niej, z którą, zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach młodości mojej, zawsze się do niej jako do Patronki modliłem; jej postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie. Po długiej chorobie zaczęła być zdrowszą, a na jej imieniny zjechali się dość liczni sąsiedzi, by jej ozdrowienia winszować; była wesołą i trudniła się wygodą gości, a w wieczór na godzinę tylko oddaliwszy się do łóżka, w dzień imienin swoich umarła. Miałem jeden sen o niej, który na długo żywem uczuciem mnie przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze, w jakim w trumnie złożoną była, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a równie jej uściski, jak niewiast, które ją otaczały dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza Requiescat in pace, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył.

— W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegiją

do ziemiów mojéj matki, któréj wcale nie znałem; wiem, że ją płacząc pisałem, i w nocy na oknie tylko przy świetle księżyca. Brat mój Andrzej zawsze mi to pismo wychwalał. Nie wiem, czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł nademnie, co to jest matka! Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętem nazwiskiem. Widok moich spółuczniów, a późniéj młodzieńców przy matkach, napełniał mnie rzewnem uczuciem. Nie mogłem utulić się ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale i dla spółuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania.

Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe do szczęścia przeznaczone istoty, kochałem ich więcéj dla tego, że ich matki kochały. — Wiele samotnych, nikomu nieznanych, łez mnie kosztowała, gdym widział dzieci

od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale go pojmuje ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał co to uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnéj nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przez którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z onemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest co nam najwięcej nadaje owo uczucie w sobie samym się trawiące, — ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziéj niebaczność na swoje postępowanie od drobnych nałogów, marzeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym jeszcze znalazł taką istotę rzekę, że spowiadałbym się jéj jak dziecię ze wszystkiego, we wszystkiem byłbym jéj posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnéj męzkiéj wyższości i dojrzałego wieku, każda kobieta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś cześć miłości synowskiéj. — Zdaje mi się że człowieka jest potrzebą, żeby kochał swą matkę, że

upatruje ją wszędzie i we wszystkiem chce ją sobie nagradzać. Do znanej matki tęsknimy w całem życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanej marzymy, jak o raju lub o szczęściu obiecanym, a nagradzamy ją sobie tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie. Nie miałem matki; dla niej dług wyższy nad wszystko czułem miłości.

i Ojczyzny. Obiedwie były dla mnie jedną i tym samym ideałem, żadna mię z nich nie wychowała, dla obudwu czułem dług wyższy nad wszystko miłości

Po śmierci matki, ojciec mój przeniósł pomieszkanie do Lipnicy murowanej, o milę od Królówki. Duże gospodarstwo i 5 drobnych dzieci, zniewoliły go acz w sędziwym wieku szukać powtórnej małżonki. Wkrótce nieszczęściem ją znalazł. Gdy na miejsce plebana w Królówce, który wraz prawie z moją matką umarł, wielu się starało, jeden z nich najskuteczniej dopiął celu swojego rająć mojemu ojcu panienkę ładną, acz ubogą na żonę. — Panienka się spodobała, ojciec dostał żonę — my macochę, a ksiądz plebanię i na tem wyszedł nierównie lepiej. — Anna Fichhauzern była najuboższą z licznej i dość majętnej familii w Galicyi. Młoda i brunetka, skromna i pokorna z początku, stała się wnet pysznym aniołem

i cały dom w piekło zmieniła. Nie mogę, i nikt by mi zapewne nie uwierzył, gdybym opisał wszystko, do czego kobieta ze starym i z natury powolnym mężem dojść może. W przeciągu kilkunastu lat stała się postrachem, nie tylko domu, ale całej wsi i okolnych sąsiadów. Pijaństwo obok najgwałtowniejszych passyi; brak wszelkiej znajomości świata obok wielomówności; chciwość robienia majątku obok niegodziwemi sposoby, obok chęci okazałości, duma z swego rodu, od którego była nienawidzona, były to jeszcze lekkie jej niedoskonałości. Mój ojciec powolny, skąpy, ale jak najmniej gospodarny, ceniący spokojność, choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nieznaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę tej cnoty przebył u swojej Xantyppy. Umiała ona wszelką intratę z dóbr na swoję tylko korzyść obracać, i z majątku męża osobny zbierać dla siebie: processa z gromadą, z plebanem, z sąsiady, z każdym, o kogo można było zahaczyć, prowadziła najzapamiętalej. Dom stawał się zbiorem owych nikczemnych dawnych czasów prawników, którzy

ją tyle swojéj sztuki wyuczeli, że ich znowu w łapki prawnicze chwytała. Perijody jéj wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furyi piekelnéj; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem, jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończała powszechnie bolenie serca i pleura, w któréj krzyk na całą wieś się rozlegał. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzęta za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia niby na zawsze ojca, lub najmniéj przeniesienia jéj pościeli od łoża małżeńskiego, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wystawić, jakie wychowanie tak druga matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moją najstarszą wysłał ojciec do krewnych, my ~~4~~ cztery mali chłopcy musieliśmy w domu pozostać. Mało znaliśmy co to jest być w pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze, to był najczęstszy nasz pobyt. Chorując

na krosty, leżeliśmy wszyscy w małej izdebce kuchennej, i nikt ze starszych bywających w pokoju, nie mógł się do nas przybliżyć, aby nie zarazić siostry z powtórnej żony. Umarł starszy mój brat, my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które żaląc się sierot, same nas przybywały ratować i opatrywać. W ubogiej historyi życia, jak moje, zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Jakżebym rad lepiej ją nagrodził! Była to stara kobieta wieśniaczka, można powiedzieć nasza jedyna matka, która za życia matki wszystkich nas wypiastowała. Zaznosiła od macochy mojej tysiączne łajanie, kułaki i służbę najprzykrzejszą, jedynie z przywiązania do nas, gdy, jak mówiła, matka jej w chorobie prosiła, aby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko co mogła na swój stan i rozum. Pokój cieniom twoim zacna kobieto, godna czci w zacnych ludzi! Ona w ukryciu zastępowała nam matkę, jej jedynie winienem, co wiem o niej, gdyż to była jej najmilsza z nami rozmowa. —

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy

i nie znałem prawie co to jest mówić z ojcem, gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący i daleki od dzieci; nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany abym się do kogoś ośmielił, lub stał się powabnym; byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do 11go roku. Przecież jeżeli wspomnienie chwil tego wieku jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmilsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu w wieku, w którym ta wolność mniej szkodzi, używałem świata w prawdziwem tego słowa znaczeniu, świata, jaki mnie otaczał. Wtenczas o niczem lepszem nie wiedziałem, i dla tego zdaje mi się, że potem nigdy nic lepszego nie użyłem. Używałem życia wiejskiego w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie o mnie nikt nie pamiętał, a cenę tej wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy. Jakkolwiek-bądź, muszę i tę sielankę mojego życia opisać. Miała ona wielki wpływ na mój los i na mój charakter. Lepnica murowana, jak

wszystkie okolice w górach, ma nader piękne położenie. Dworek w którym ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie otoczonej rzeką niewielką, która z góry spadając, za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistem łożu z podnóża gór ~~spada~~ i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty rozrzucone na górach między sadami, czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica zarośnięta krzewem i wzniosłemi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptastwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Obok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty, zdawały się być granicą ziemi. — Droga grzbietem gór idąca, piękny czyniła widok przeciągających wozów. Za polami piękny las jodłowy, który się w nizinie gubił. Po drugiej stronie dworu, dwa dęby

nadzwyczajnéj wielkości panowały całéj osadzie. O kilkanaście staj widać na wzniesieniu miasteczko murowaną Lipnicę z trzema starożytnemi kościołami, ku któremu droga wierzbami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca. Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. Była tam szkółka elementarna, do któréjśmy z bratem uczęszczać musieli. Ulewy, zaspy śniegu, nie mogły nas od przykréj podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba, w którego w środek włożono kawałek masła. Nie znam straszniejszego nauczyciela nad tego, któregośmy mieli, miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastem czole szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. Długa wyszywana kamizelka i surdut z klapami po kostki u boku, a od ogromnego warkocza, cały w tyle zbielony, przy powolnym i pedanckim chodzie, jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy

i wargi niezmiernie wypukłe, pancowaty przecarż nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jéj cienką figurę dziwnie wydatną czynił.

Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. – Umeblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były świeże rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnéj passyi. Pan professor wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu rózg przystępował; wprawne probowanie rózg wydawało świst przerażający, poczem uzbrojony tem berłem, zaczynał z nami modlitwę; można się domyślać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skruchą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. –

Pan professor miał często dziwny humor do bicia dzieci; bicie rózgą w rękę za każde zająknięcie, za każdą mylkę w pisaniu, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabierało dużo nudnego czasu; kara ta chłopca odbywała się w obecności płci obojej. Dziewczęta prowadzone były do osobnej komórki. — Pan professor, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyi był odrywany; był to czas najwyższej swawoli bez różnicy płci obojej. Młodzież składała się z miejskich i wiejskich dzieci. Partija mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały być skromne, a my najwięcej, gdyż nas jako szlachciców prześladowano. — Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którym nie śmy ani treści rzeczy, ani języka nie rozumieli wcale. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty uniknąć zdołał. Trwoga i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały trudno opisać. Każdy zapytany po pierwszem zająknieniu, występował na środek klasy, a tak całe ławki się wypróżniły, wszystko klęczało,

czekając w największej trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczem nastąpił jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość.– Zamykano wtenczas okno, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że matki przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekucyją mięszały. W tej kochanej szkole przez 3 lub 4 lata będąc, prócz pisać i nieco czytać po polsku i po niemiecku, nic więcej się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektóremi prawdziwą przyjaźń, i im winien szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za roskosz była, po ukończonej szkole puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych malenkich konikach, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się lub iść do lasu i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostemi wieśniakami, byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi też za złe choć się najdłużej zabawiłem. Życie takowe zrobiło

mnie dzikim i ~~nieśmiałym~~ do ~~ludzi~~ osób wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczały mnie konia dosiadać, iść za broną, i umieć konia na inny zagon nawracać! Podczas mglistej jesieni trawiłem często długie wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy przy ognisku piekąc kartofle, bajki opowiadano, które naówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczególnej przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często tej zabawy, a cnotliwy wieśniak, ojciec mojego kolegi widząc we mnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu zachęcał, mówiąc: iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która mię dziś zupełnie zaniedbuje, a po śmierci ojca z domu wypędzi. — Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu

i dobroci, więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi, niż w innych prowincyjach Polski. W górach mniej znają nieszczęścia wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcej czynszowe tylko opłacenie gruntu, czyni ich zamożnymi, tak, że majętniejsi liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zasiewał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddalonym ze służby żołnierzom, przeznaczał pole na swojem wójtostwie i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do ojca i do nas, były bez granic. Żadna wieśniaczka, ani chłop nie przyszedł do ~~domu~~ dworu, żeby nam tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmarku nie przyniósł. Żniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tem wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudzają. —

Ta opieka i troskliwość, acz prostych ludzi, budziła we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym — a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siebie uwagę i być jéj godnym. —

W lecie była naszym mieszkaniem stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego grunta dworskie i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była zwykłem naszem zimowem mieszkaniem. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palący się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filomona i Baucis. On był starym żołnierzem, ona kobietą, która sługiwała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuzkich, w których biały chleb jadał i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem iż dotąd czułem zawsze tęsknotę do ziemi nieznanej, do podróży, który biedny stan mój wiele dodawał ochoty.

Jedną zimą, której wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabawiła mnie pierwszy raz w życiu owej prawdziwej niespokojności i tęsknoty, której podobno każdy człowiek mniej lub więcej doznaje. Opowiadania o pięknych krajach Włoch i Francyi w tym sposobie, jak je mógł

prosty żołnierz uważać i opisać, napełniła dziwnemi marzeniami mą duszę. — Żona jego niemniej obudzała we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich; jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami i tym podobnie. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły, ale ja myślałem, że ten świat za górami tak jest szczęśliwy, jak mi go opisano, i jak go sobie w niewinnej duszy wystawiałem. Życie moje przy macosze od wszystkich znienawidzonej, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tem bardziej tę moję chęć do szukania szczęścia u świata zwiększało. —

Zdaje mi się iż gdybym był wtenczas Odysseę lub przynajmniej Telemaka czytał, nicby mię nie było mogło wstrzymać w mej tęsknocie. stałem się odtąd smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których bolesć z roskoszą złączona jest urojoną. Szczęściem, że wtedy żadnych książek prócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojéj imaginacyi, były tylko powieści wieśniacze, które do mojéj tęsknoty dużo się przyczyniły,

nie mogły mnie jednakże całkowicie obłąkać. Im się bliżej ku wiośnie miało, tem więcej mój umysł był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczęliśmy układać projekt tajemnego wybrania się z domu, i puszczenia się w świat na Bożą Opatrzność. Wszystkie dwory i zamki, o jakich słyszałem, jakie sobie w wyobraźni tworzyłem, stały mnie przed oczyma we dnie i w nocy. Często wdarłszy się na dach folwarku, dumałem o szerokim świecie, i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem zasięgnąć zdołałem. Codzień nabierając większej chęci do wykonania zrobionego planu, czuliśmy jednak potrzebę zwierzenia się komuś; za mentora więc naszego obraliśmy starego gospodarza, jemuśmy wszystko opowiedzieli. Człowiek ten prosty, pochwalił prawie nasz zamiar, jeszcze nas więcej do niego zachęcał, a tak nic nam już więcej nie zbywało. Namienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy, podał nakoniec środek ich nabycia, który dla osiągnięcia skutku naszych życzeń, nie był dla nas okropnym. Ojciec odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem Maryi na jednej stronie. Było też między do

pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju, a my znosiliśmy do niego opałeczki uzbieranej miedzi. – Gospodarz uczynił nam uwagę, iż te pieniądze są bardzo szczęśliwe dla tego, kto je mieć może, że mają władzę cudowną. Że ojca prosić o nie nie można, boby się nasz zamiar wydał, – zgoła żeśmy się wkrótce domyślili, jakby ich dostać. Za każdą więc zdarzoną sposobnością braliśmy po garstce cudownych pieniędzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali. Ten nie przestawał nam opisywać przyjemności naszej podróży, a co nas najwięcej cieszyło, że sam uda się z nami, że on także z macochą wytrzymać nie może. Nie pamiętam, ileśmy mogli naszego funduszu uzbierać, ale wnet i układy nasze i bogactwo smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz miał także swoje peryjody, w których się przez dwie i trzy niedziele i więcej trunkowi oddawał; wysłany jednego dnia na jarmark o parę mil, zabrał nasz fundusz podróżny, błąkał się gdzieś ze 3 tygodnie i do domu z niczem powrócił. Postępek nasz się wydał, ojciec nasz tajemnie i łagodnie ukarał, a z gospodarzem zerwały się wszelkie dawne stosunki. Domyślić

się także można, że w towarzystwie, w jakiém żyłem, najwięcej między kobietami prostemi, nasłuchałem się różnych powieści o duchach, zabobonach i czarach, co miało tyle wpływu na moję imaginacyją, iż odtąd puściwszy wodzę wyobraźni na te czarne kraje, jak dziecię sam własnych utworów się lękałem. Dopomógł mi do tego bliski cmentarz, przez który musiałem zawsze przechodzić do szkoły. Kościołek drewniany, w środku tego cmentarza, nie wystawiał mi się inaczej, jak za siedlisko duchów, które tamże po nocy swoje uczty miewają. — Zwyczaj chowania uboższych ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parchanem dniem przed pogrzebem, które to trupy często widzieć musiałem, zrobiły mnie na zawsze trwożliwym. —

Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co oskarżyć się muszę, iż dotąd daleko łatwiej umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem, z jakimi później żyłem. Kilka słów wieśniaczki dosyć jest dla mnie, iżbym wszedł w ich uczucie. Więcej także dotąd umiem się postawić w stanie kobiet niżeli mężczyzn, więcej mam skłon-

ności

rozwiązać ich skłonności i w snuć się w ich man
nia, chociaż z niemi mało gdzie żyłem w ścisłej
szej przyjaźni. —

Jednem z najprzyjemniejszych wspomnień my
dziecinnego wieku są wiejskie wesela, których najcz
tniejszym bywałem uczestnikiem. Prosty nasz lud
nie nad to ważniejszej uroczystości. W wioskach
tylko dochowały się jeszcze ślady dawniejsze pogańsk
obyczajów. Istniały one i w stanie wyższym, za naj
piękniejszych czasów ojczyzny. U wieśniaków, w nasz
stronach trwa wesele blisko przez cały tydzień, a d
każdy ma inne obrzędki. Był piękny zwyczaj, że k
wesele przez jedną noc bawiło się we dworze, w który
nowożeńcy z całym gronem doznawali gościnności, i
równo się z panami bawili. Muzyka złożona z d
skrzypków i basisty, grywała codzień, przy rannej i w
czornej porze, na dobry dzień i na dobra noc, a jeden
z drużbów miewał oracyje wierszami, których treści
nie pamiętam, o stanie małżeńskim. Widzieć te
druchny w kwiatach na głowie i mnóstwie wstęgó
różnego koloru na plecy spadających, rószczkę staroś

to jest, pięciogałęzią jodłę, ustrojoną rutą, stokrocią, jabłkami i orzechami i t. p. była dla mnie najmilsza uroczystość. Nie znałem wtedy żadnych innych zabaw ani uroczystości, a widok orszaku powiewającego na wzgórkach chustkami na laskach zawieszonemi, muzyka wiejska, radowały moje serce uroczystem uczuciem. Do dziś dnia, wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne, i oburza mię w duchu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie dozwala żartować, lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym. Do takich uroczystości wiejskich, należą szczególniej święta religijne. Dzień Bożego Narodzenia pełny cudów, w którym o samej 12 w nocy przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy bartogiem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesołe kolędy. Boże Ciało, Matka Boska zielna, a szczególniej dni krzyżowe, w których obchodzimy z processyą stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanią do wszystkich świętych, tem mocniej, że każde „zmiłuj się nad nami!" echo nam oddawało.

W Lipnicy urodził się błogosławiony Szymon, sławny w zakonie Bernardynów krakowskich. Na cześć jemu jest wystawiony w miasteczku kościołek murowany bardzo schludny, w którym parę razy do roku nabożeństwo bywało. Ten święty, który uczniom bosemi nogami po węglach chodzić kazał, i różnemi cudami słynął, zajął moję imaginacyją i zwrócił umysł ku religii, tem więcej gdy przypadkiem pomiędzy szafami znalazłem żywoty SS. polskich. Po stodołach i strychach czytałem to dzieło i nie żartem przemyśliwałem o życiu świątobliwem, takiem, jakiego przykłady wyczytałem w tem dziele. –

Szkoły tak były wtedy w Galicyi urządzone, iż młodzieży ani głowy obciążać, ani zbałamucić nie mogły; karność nawet, co w braku innych żywiołów tworzyć zwykła charaktery, była dość łagodną, zatem na niewinne swawole nasze mógł rząd, chociaż w podbitej i nieprzychylnej prowincyi, spokojnie zasypiać. – Dzieci polskie, w domu albo w elementarnej szkołce, cokolwiek po polsku czytać

poduczone, przychodziło do szkół tak zwanych nor-
malnych, gdzie wszystkiego wyłącznie tylko po niemie-
cku uczono. W tych szkołach, póty musiało wytrzymać,
póki nie zostało po niemiecku tak usposobione, iż
mogło z niemiecka po łacinie się uczyć. Ale że całą
naukę zakładano tylko na opowiadaniu lekcyi na
pamięć przeto znajomość języka była tylko pozorną.
Tak w tych jak w innych szkołach, professorowie
nie zadawali sobie pracy w wykładaniu lekcyi i roz-
wijaniu pojęcia. Żądano z książki stąd dotąd, raz
wytłumaczono po polsku, jeżeli professor był Polak,
kazano się nauczyć, kto chybił odebrał karę i na tem
koniec. Sama więc pamięć była mordowaną, każdy się
uczył, nie wiedząc czego, tylko na jeden dzień. Dzieci
Niemców, miały więc tę wielką wyższość nad nami,
iż rozumiały, czego się uczą, a w nas wzrastała nie-
nawiść do nich i do ich języka. W szkołach łaciń-
skich, czyli tak zwanych gimnazyjach, jeszcze więcej
było trudności. Dzieliły się na pięć klass, których gło-
wnym, a prawie jedynym przedmiotem był Alwar,
na 5 wielkich, a w miarę klassy coraz większych tomów

podzielony. W trzech pierwszych klassach, jeden professor przez trzy lata prowadził swoich uczniów, a po tym kursie od 3ciej, wracał znowu do najniższej. Ostatnie dwie klassy, retoryka i filozofija, miały już osobnych swoich professorów, którzy także wszystkie nauki sami wykładać musieli. Ogromny zbiór przepisów Alwara, w tych dwóch ostatnich klassach skracany był tym sposobem, iż między nami przez tradycije utrzymywały się egzemplarze książek, w których słowa do nauczania przeznaczone podkreślone były czerwonym ołówkiem, tak, że nawet pojedyncze perijody do właściwej zwięzłości przyprowadzone były; pierwsza więc czynność wstępujących do nowej klassy była, tak sobie swojego Alwara oznaczyć. Język łaciński nauczany był według niemieckiego, i w szkołach tych już słowa po polsku nikt nie słyszał. Trudność uczenia się języka obcego, za pomocą także obcego niezrozumianego, była nadzwyczajna. Wszystko więc odbywało się mechanicznie, na pamięć. W 2giej klassie już trzeba było mówić po łacinie, z wolnością wyrażenia po niemiecku słowa, którego

się nie wiedziało. Środkiem wykonania tej najuciążliwszej powinności, było szczęśliwie znalezione, tak zwane signum mała z drzewa ustrugana książeczka. Urządzenie to w tém było dziwaczne, iż ten tylko karę odniósł, kto ten znak nieszczęsny przez godzinę 12sta, w południe lub o północy miał przy sobie. Przezornie starali się go wcześniej pozbywać, inni na ostatnią godzinę tak postrachem terminu nagleni, wszelkich używali środków ku zdradzeniu kollegów, którzy właśnie w tym czasie najwięcej byli ostrożni. W ostatnim zawsze razie, kończyło się na tém, iż niespodziewane mocne uderzenie w kark kolegi, zmusiło go naturalnie z bólu, odzywać się przyrodzonym językiem i przyjąć sygnum na ową niebezpieczną godzinę, skąd wypływały bitwy, skargi i nieprzyjaźni. Gdy najniższej normalnej klassie, jedynie tylko naukę religii po polsku wykładano, rozumiałem przecie cokolwiek czegom się uczył. Lecz właśnie to na złe mi wyszło. Gdy nam dano rozdział o Otchłani, w której dusze bez chrztu zmarłych cierpią, uczę się w polu, dumałem długo, czy to jest prawdą, czy to sprawiedliwie? Przyszedłem na lekcję z wielkiem oburzeniem,

i z chęcią wynurzenia katechcie moich wątpliwości, szczęśliwy, że na jego lekcyi wolno było mówić po polsku — z zadziwieniem kolegów, bo nigdy nie było wolno odzywać się bez rozkazu. Ksiądz katechta słuchał cierpliwie, zmierzył spojrzeniem, z którego doświadczeni koledzy złe mi wróżyli, i nic nie odpowiedział, ja w dobrej wierze obchodziłem przez parę dni mój tryumf. Razu jednego spostrzegliśmy w szkole nadzwyczajne zebranie się professorów, na których czele rektor po długiej mowie mnie, który się ledwo domyślać mogłem, o co rzecz idzie, wywołał na środek, otrzymałem chłostę, poczem zapisałem się własnoręcznie w czarną książkę jako bluźnierca, — pióro i kałamarz, których dotknąłem się, wrzucone zostały do wody i jako heretyk siedziałem przez trzy miesiące na lekcyach w osobnem miejscu. Ten wypadek zrobił mnie ponurym i cichym, tym więcej, że po nim od niewyrozumiałych uczniów długo cierpiałem prześladowanie. Do nauk mało miałem ochoty, natomiast skłonniejszy byłem do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych, przejmowałem się błogą sercu miłością

Boga, stojąc zawsze przy swojem, że niewinnych nie potępia na wieki. —

Mieszkaliśmy z bratem Andrzejem u wdowy, podupadłej i już w wieku będącej, która miała dwóch synów, nadzwyczaj żywych i rozpustnych, a którzy wraz z moim bratem już do wyższych klass chodzili. Wdowa ta przeszło 50-letnia, w najwyższym stopniu przejęta była szlachetnością swojego rodu i swą pięknością. Bardzo często nam powtarzała, że pochodzi od książąt Spicimirów, a z miasta często zadyszana wracała w trwodze, mówiąc, że przez całe miasto ścigana była od księcia Sanguszki Hieronima, który jako dziedzic Tarnowa, i jako stary lubieżnik, znany był w całej okolicy. Ona znaną była z dziwacznej pretensyi, w ubiorze przypominającym niezmiernie dawne czasy, chodziła zawsze upudrowana, zawsze prędko i zawsze się wachlując. Gośćmi byli dorośli studenci, po większej części instruktorowie młodszych, noszący zawsze gibkie pręty, któremi często libry papieru przecinając, probowali sił swoich, potrzebnych do ich metody nauczania. Starszy mój brat, będąc sam instruktorem,

nie użył nigdy w ich sposób swej władzy, i ja z mo-
jéj strony starałem się być pilniejszym. Uprzedze-
nia synów szczepu książąt Spicimirskich, dochodziły
do wyższego stopnia, którym matka zupełnie
zdawała się pobłażać; każdy nieszlachcic był prze-
śladowany (w szkołach dawano każdemu de, jeżeli
był szlachcic), każdy chłop z drewkami przybywający,
każda wiejska kobieta z jarzyną, wytrzymać mu-
sieli, jako chamy prześladowanie. Mieli ci szlachcice
jakowąś maszynkę drewnianą, która za przyciskiem
jak żądło się wysuwała; każdy chłop ma także żądło,
wołano i sięgano z nią każdego. Służąca jedyna w do-
mu, wśród pracy tak prześladowana, codziennie pra-
wie płakała. Nieszczęście chciało mieć, że kuzyna
naszéj szlachcianki, zgodzoną była za pannę służącą
do mojéj macochy. Naturalnie dwa tylko miesiące
przy niéj wytrzymać mogła; żal i pomsta spłynęła
także na mego dobrego ojca i nas synów, dla tego, że
macocha w kłótniach z ojcem, często czyniła wyrzuty
nasuwające nie małe podejrzenie, że nie jest szlachcicem.
Cała więc familija zwróciła do nas poniżające

wymówki; ścigano nas z żądłem i dopominano się, aby nasze de z katalogu wymazane zostało. —
Najczęściej więc z bratem uciekaliśmy w pole, tam nasze odbywając nauki. Po dwóch latach uznał ojciec konieczność umieścić nas gdzie indziej; nastręczono mu krawca, który tanio się zgodził, ale najgorsze miał mieszkanie, lecz w parę tygodni z tegoż się wyprowadził, i mieścił się z żoną, dziećmi, czeladzią i nami w jednej większej izbie od tyłu. Był to pijak w całem znaczeniu wyrazu. Do szynkowni idąc, zwracał na siebie powszechną uwagę, najczęściej w rękę trąbiąc, w domu wszystko wywracał, bił, a dane do roboty sukno na zastaw wynosił; trafiało się że nasza garderoba, nie tylko z kuferka, ale i ta, którąśmy na noc zdjęli, tego losu doznała. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie szliśmy do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwo nieszczęśliwej żony i skwirk zgłodniałych dzieci. Przymuszony zostać w zimie, często przez cały dzień w pościeli, nie mając co wdziać na siebie, z szczególnem zamiłowaniem odmawiałem modlitwy, ze starej znalezionej książki

za dusze w czyscu będące. Że według napisów nad temiż modlitwami, można było jedną po sto dni z mąk wybawić, inną po więcej, prowadziłem formalny rejestr dusz przezemnie wybawionych, a nauki zaniedbywałem. Szczęściem przybył ojciec i wyrwał nas z tego strasznego miejsca. Przenieśliśmy się do jednego z kancelistów Fori nobilium; mieszkanie jego, po opuszczonem pańskie nam się zdawało. Miał on żonę dwa razy od siebie wyższą, niezmiernie brzydką, krzykliwą, ale która przywiązaną była do niego z duszy, i miała dobre serce. Sam był rodem z Węgier, niezmiernie powolny, przystojny i z duszy także butelkę lubiący. Dla tego trzymany był krótko, równo z nami dziećmi, na ręku żony we wszystkich potrzebach jak my patrzący. Zabiegając tylko, aby się mąż nie upijał, była z resztą nad możność hojną. Po kwartale, w którym ojciec za nas raty zapłacił, lub po pierwszym każdego miesiąca, gdy mąż pensiję, mieliśmy wszystkiego do zbytku, za to koniec kwartału był zawsze smutny dla zupełnego

braku funduszów. Szły znowu na zastaw rzeczy z domu, nawet nasze suknie. Wtedy nasz gospodarz miał wolność więcej z domu wychodzić i upijać się bezkarnie. Gdy był gdzie zaproszonym, wracał on w najlepszym humorze, tajemny odpowiedział: co ty wiesz głupia? co ty znasz! gdybyś ty wiedziała, jak my tam pili! –

Raz późno w nocy przyszedłszy, postrzegł światło księżyca rzucone na stos garnków, porządnie aż do sufitu za piecem ułożonych. Zdało mu się, że to jest djabeł. Podżegany przez nas, nuż machać laską tak dobrze, że wszystkie garnki potłukł. Nazajutrz był w domu wielki kłopot i późno jedliśmy obiad. Nie pamiętam zkąd dostał mi się przywiléj chodzić z moim gospodarzem do szynkowni, w których się upijał. Była to najczęściéj brudna komora u żyda, gdzie pito miód, albo wino węgierskie. Szczęściem, że do szklanek prawie żadnego nie miałem udziału, lecz za to bułki do przekąski dawano, o które pijący wcale niedbali; sam je zjadałem, nie mogę się wydziwić, że tacy rozumni panowie

wolą pić wino niżeli jeść bułki.–

Jeździliśmy parę razy do domu na wakacyje, gdzie coraz było gorzéj i smutniéj. Całe dni trwaliśmy w polach i lasach, nie pokazując się prawie macosze, która obok wszystkich swoich przymiotów, nawykła do pijaństwa, któremu towarzyszyło bicie sług i chłopców. Jednego roku w zimie, niebezpiecznie był ojciec zachorował, i sąsiedzi przysłali po nas do Tarnowa furę, abyśmy umierającego ojca pożegnać mogli. Stało to się bez wiedzy macochy. Przybywszy zastaliśmy ojca u spowiedzi, przy łóżku obok krucyfiksu świece gorzały. Był to właśnie moment, po którym ojciec podpisał testament.

Treść obudziła gniew tej nieszczęśliwej kobiety, do tego stopnia, iż zapisane jéj kopersztychy i obrazy, z pokoju chorego zdzierała ze ściany, i z krzykiem największym w obec księdza, pisarza i świadków, którzy na ten widok zmartwieli, ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Gdyśmy na to weszli, gniéw jéj zwrócił się ku sąsiadom

obecnym, że na to nas sprowadzili, abyśmy majątek
po ojcu zabrali, ją w koszuli puścili i tym podobne.
Ojciec rzucił na nas żałosnem okiem, widać było
na nim mocne poruszenie, kazano nam się oddalić. ⊟
Płacząc przepędziliśmy noc całą w izbie czeladnej.
Uzyskaliśmy na chwilę przystęp spokojny do
ojca, pobłogosławił nas i kazał do szkół odjechać.
Płakali nas domownicy, szczególniej poczciwy Żyd
arędarz, koło któregośmy przejeżdżali. Obdarył on
nas łakotkami różnemi, dał po dwa złote w trzech-
groszówkach, summa, jakiej jeszcze nigdy nie miałem.
Że mój brat starszy ukończył szkoły w Tarnowie,
przeniesiono go do Krakowa na uniwersytet i mnie
przy nim, gdzie byłem w drugiej gimnazyalnej
klassie. Nieszczęście było zawsze jakieś przywiązane do
naszych stancyi studenckich. W Krakowie umiesz-
czono nas u stolarza, na końcu ulicy Wrocławskiej,
w izbie, w której heble i piłki w nieustannej były
robocie. Stolarz ten był razem tokarzem, mającym swój
warsztat w małym sklepiku na ulicy Grodzkiej.
Tam musieliśmy chodzić na śniadanie i na obiad,

⊟ Narażon był ojciec zdrowiu i w domu spokojności

czekać po godzinach, jeść najniegodziwiej, a obiad kończył się na tem, że łyżki i półmiski małżeństwo sobie na głowy rzucało. Był to widać pijak i oszust, który wzięte od ojca pieniądze stracił, na żywienie nas wystarczyć nie mógł i od żony za hultajstwo swoje karę odbierał. Tak włócząc się przez jesień, od szkoły do tokarni, stamtąd do stolarni, głodni i przemokli, zostaliśmy bez ratunku. Obcy dopiero człowiek wpodle nas mieszkający, przez szczególną troskliwość, wywiedział się o stanie naszego ojca, przyszedł do nas i podjął się nas umieścić gdzieindziej, pewny będąc że mu tego postępku ojciec nie weźmie za złe. Usłuchaliśmy dobroczyńcę naszego, niebawnie przenieśliśmy się na ulicę Stą Anny, blisko szkół, do gospodarza porządnego, gdzie już zastaliśmy kilku uczniów mieszkających. Rajem zdało się nam to nowe mieszkanie; stancye były porządne, stół jak najlepszy, ludzie dobrzy, o nas troskliwi, i weseli koledzy. Wkrótce nadeszła wiosna, we mnie ożywiła się najżywiej miłość dawnej swobody, biegania po górach i łąkach, najczęściej samotnie.

Brat mój zaczął życie akademickie, miał swoje prace, przyjaciół, oddawał się z zapałem poezyi; ja zostawiony byłem samemu sobie, w naukach zupełnie się opuściłem, celowałem tylko w pracach piśmiennych po łacinie, które sam nie wiem, jakim sposobem, łatwo mi przychodziły. Najulubieńszą moją zabawą było zbieranie i zasuszanie ziół i kwiatów, i na tém całe przedpołudnia trawiłem, na górze Stéj Bronisławy. Książki, będąc już lat kilka studentem, żadnej jeszcze nie czytałem. Lubiłem i umiałem różne pieśni, ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, ażeby można jakowe wiersze czytać. Historyczne pomniki Krakowa były mi najobojętniejsze, gdyż żadnego o historyi polskiéj wyobrażenia nie miałem; wiem tylko żeśmy współuczniów Niemców bili i przezywali jako Niemców.

Ojciec po długiéj słabości zdołał przecie do nas przybyć. Zapłacił poczciwemu gospodarzowi, który bez żadnéj ugody i znajomości nas żywił. Wkrótce po odjeździe jego doszła nas wiadomość, że już nie żyje. — Nie przypominam sobie z tych czasów szanowniéjszéj po-

nad niego gra, ku któremu więcej mieliśmy uszanowania, niżeli dziecinnéj miłości. Starzec 60. letni starannie po polsku się nosił z tym tylko wyjątkiem, że zamiast podgalania włosów na głowie, zaczesywał je od czoła, spuszczając siwe loki na plecy; powolny milczący, wtenczas się tylko do nas odzywał, gdyśmy na połajanie zasłużyli. Co dzień o ćwierć mili chodziliśmy z nim na mszą, w Kiedziałę tylko kazał zaprzędz mały wozik zwany waśnienką. Był nadzwyczajnie oszczędnym, w końcu aż do skąpstwa, ztąd pochodziło nieszczęśliwe nas mieszczenie po szkołach. Wymyślny sam w pięknym polskim ubiorze, nam bardzo rzadko sprawiał suknie, lecz z ogromnej swej garderoby przerabiać kazał kapotki. Co rok w czasie wakacyi rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, czyniono z krawcem lustracyą, które z nich dla dzieci przerobione być mają; mieliśmy przeto sukienki w różnych dziwacznych kolorach. Było zwyczajem, że do 3ciej klassy łacińskiej, młodzież nosiła się po polsku, w ostatnich dwóch po francuzku, była to niejaka oznaka wyższości. Mnu

III O polskich uczuciach jego to tylko powiedzieć mogę, co mi jedynie utkwiło w pamięci. Miałem wtedy lat kilka, gdy wieczór przed kolacyą parę gości z ojcem rozmawiało siedząc na ganku. Przybył posłaniec z Krakowa, oddał listy po których przeczytaniu, zaczerwieniony wbiegł do pokoju gdzie właśnie stół przeszło na dziesięć osób był nakryty. W niezwykłem sobie uniesieniu porwał za koniec obrusa i zrzucił całe nakrycie z wazą, gromiąc nas: Precz niewolnicy! nie będziecie dziś jedli. Słowa te, przeraziły samych gości, nawet macochę. Była to wiadomość o ostatecznym rozbiorze Polski. Księżyc pięknie świecił cały dom poszedł w pobliskie góry, pod tak zwany duży kamień, śpiewano pieśni patryotyczne, mianowicie hymn „Do Ciebie Boże! wznosim nasze modły." Pieśń ta utkwiła mi na zawsze w pamięci.

bratu starszemu przypadła jakaś sukmia ceglasta z żółtemi pasami, z której frak mi zrobiono, wyśmiewany był od wszystkich uczniów. — Oprócz starostwa Li-pnickiego, które nasz ojciec lat 20 dzierżawił, miał dożywocie jednej wioski. Że sam nie był gospodarzem wypuszczał grunt abszytowanym żołnierzom, budował im chaty, i ci byli do niego najprzywiązańsi. Sprawiedliwy, rozsądny, tak był kochany i poważany, iż na pogrzeb jego do kilku tysięcy
wieśniaków i szlachty z starostwa i okolic
się zjechało. Utrzymywał wiele korrespondencyi; do Krakowa regularnie dwa razy w tydzień posłańca wysyłał. —

III. Trzy miesiące od śmierci ojca upłynęły, nasz najem się kończył, do nas nikt się nie zgłosił. Brat Andrzej zyskał sobie niejaki zarobek pisząc u adwokata, mnie jak mógł dopomagał, lecz wyżyć dłużej obudwum było niepodobna. Przedsięwziąłem udać się do macochy, a w razie najgorszym szukać porady u sąsiadów i wsparcia. Uszyłem sobie potajemnie z prześcieradła torebkę, dostawszy od Żydów za niepotrzebną czapkę kilka czeskich, zabrałem moje manatki i puściłem się pierwszy raz w pieszą podróż o 8 mil do miejsc rodzinnych.

zdawało mi się, że na końcu świata. wiek, słabe zdro-
wie i brak wprawy ledwo mi dały tę podróż ukończyć,
spoczywając co chwila po lasach i górach, zostawia-
łem coraz więcej po drodze moich manatek, najprzód
książki, potem i sukienki, co mi wszystko nieznośnie
ciężyło, tak dalece, że prawie z niczém przyszedłem
na miejsce. Stanąwszy w Lipnicy, z drżeniem serca
zbliżałem się do domu, który dla mnie tyle smu-
tnych miał wspomnień. Nie zastałem w nim nie
tylko macochy, ale nawet i żadnego z czeladzi.
Po śmierci ojca Niemcy, według prawa, natychmiast
starostwo objęli, gdy starosta ~~Raczyński~~ Morzyński dożywotni,
w jednym czasie z moim ojcem umarł. Poznała
mnie jedna z wiejskich kobiet, zaprowadziła do
domu swego, gdzie noc smutną spędziłem. Dowiedzia-
łem się, że macocha zaarendowała polne dochody ple-
banii w Rajbrodzie, w jednej z wiosek do starostwa na-
leżących. Mąż tej kobiety odprowadził mnie do Raj-
broda, pół mili tylko od Lipnicy odległego. Po drodze
wstąpił ze mną na cmentarz, pokazał grób ojca,
pomodlił się ze mną; przechodząc przez miasteczko

(murowaną Lipnicę) zaprowadził na piwo i bułki. Zeszło się do szynkowni wiele ludzi, najwięcej mieszczanek byłem głaskany, załowany, mówiono niezmiernie wiele o majątku ojca, co macocha zabrała, co Niemcy zajęli i tym podobne; wszyscy podawali mi szklanki, nawet i kieliszki z wódką. – Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego powinienem się był obawiać; nagła zmiana losu i w nim upokorzenie, głos sumienia, a najwięcej chęć zyskania opinii, sprawiły zapewne, iż mi nie odmówiła przytułku, po którym tylko ślepym instynktem wiedziony przybyłem.

Mieszkała w szczerem polu, w nowym zupełnie domku, o dwóch izbach z jednej, a kuchni i spiżarni z drugiej strony, zresztą żadnego drzewka ani przybudowania; droga nawet w to miejsce ledwie była cokolwiek utartą. Miała przy sobie dwoje małych dzieci i jedną tylko służącę. Przyjęty byłem tymczasowo do czasu, póki opiekun i forum nobilium nami nie rozrządzą. –

Wieśniacy Rajbroda różnili się od włościan okolicznych obyczajami, wymową, a nawet strojem, zupełnie prawie odmiennym. Liczne chaty rozproszone

po dwóch pasmach wzgórzystych, około niespokojnej często wylewającej rzeki, przez samych tkaczów były zamieszkane. Trzaski warsztatów rozlegały się od świtu do zmierzchu, a wszystkie wzgórza i trawniki pokryte blichującem się płótnem. Pola mało zasianego, natomiast cała prawie wieś składała się z sadów, w których najwięcej włoskich orzechów. Na małym placu równym, w dolinie, stary drewniany kościołek Maryi Pannie poświęcony. Plebania była na cmentarzu, tak że pod oknem prawie chowano. Pleban grubych obyczajów z nudoty pijaństwu oddany, pełnił jak umiał swoje obowiązki, żyjąc rano dla Boga, i owieczek, po obiedzie dla siebie i węgrzyna. —

Nie mając żadnego towarzystwa i zatrudnienia, żadnej a żadnej książki prócz łacińskiej i niemieckiej grammatyki, jedyne towarzystwo znalazłem w drzewach, ziołach i strumykach, nad któremi czas mój pędziłem. Niczem prawie ze szkół, oprócz trochę tych dwóch języków nie uposażony, nie miałem w tej samotności żadnego żywiołu dla myśli. Obyczaje wieśniaczków zdały mi się dość grube w porównaniu

z sąsiedniemi i nie miałem z niemi prawie żadnej styczności. – Dumania po polach były mi zawsze jakąś roskoszą, połączoną z tęschnotą. –

W szczupłem mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać, lub czytać grammatykę. Tam między innemi rzeczami postrzegłem wór papierów po ojcu moim zebranych. Między listami rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4-letniego, wiersze najwięcej na imieninach różnych panów, lub Króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane po wszystkich domach się rozchodziły prędzej niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojej lektury od papierów mnie nie przydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno to mowy, to wiersze. Samte mało mnie zajęły, nie rozumiałem o co w nich idzie, wiersze sprawiały mi roskosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo

powinszowań Naruszewicza, X. ~~Ja~~ Żubowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które się mi nieskończenie wyższemi zdawały i w pamięci utkwiły. — Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestósowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza: przetrząsłem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę, i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole, i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy, co mi do głowy przyszło. — Byłem jak piskle w gnieździe, które instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściej śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodyja naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz ~~śpiewał~~ używał. — Były to wyrazy tęschnoty za matką, której nie znałem, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiarek słyszanych. —

Byłem wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żadnych zapasów wiadomości, układałem projekta do

dużych poematów. — Nadeszła zima najsmutniejsza dla mnie, bo już nie tylko towarzystwa, ale i natury pozbawiony, bez żadnych książek przepędzić ją musiałem; wieczorem chodziłem do czeladniej izby plebana, szczęśliwy, jeżeli trafiłem na dzień, gdy parobki i prządki opowiadały tak zwane gadki, historyjki, lub kiedy śpiewano pobożne pieśni, czem się zwykle nasi wieśniacy przy pracach wieczornych zajmowali. Bywałem także u organisty, który miał w domu lichy klawisymbalik. Czasem zagrał na nim pieśni pobożne, bo innych nie umiał, pragnąłem w najwyższym stopniu uczyć się na tym instrumencie, lecz ujrzałem niepodobieństwo skłonienia do tego organisty, który nie chciał udzielać tajemnicy swej sztuki, może i dla tego że żadnej nagrody spodziewać się nie mógł. — „Pan jesteś i będziesz Panem, i nie potrzebujesz być organistą — odpowiadał mi, nie wiem czy w prostocie serca, czy też żartując z biedaka. — Macocha moja pogniewała się z plebanem, ztąd przez całą zimę towarzystwa nie było; oboje w samotności, pokątnem nachylaniem kieliszka wieczory długie odprawiali. (Przecież zbliżyła

się wiosna razem z Wielkanocą, w czasie której już czerwone prątki krzewin, pączki obiecywały, a cmentarz był pełen fijołków. Zajmowało mię ~~wiele~~ bardzo nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególnej ~~piękności~~, śpiewane przez niego, psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je za nim samym, później kolejno, nazajutrz rano i po południu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. — Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wówczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida. Po skończeniu uroczystości Wielkanocnych, potrafiłem uprosić od organisty książkę, której używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc dalej, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą grammatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyckie, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiej wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem. W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do Stryja,

mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o 4 mile od Rajbroda. Co była za radość moja czytać list cały o poezyi, któréj się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całéj tragiedyi przez niego napisanéj, pod tytułem Ludgarda! — Doniósł mi o książkach, jakie czyta, o księdzu Juszyńskim, który się trudnił bibliografią polską: że go poznał, bywa u niego i rady zasięgał. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda, nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek, a co większa, widzieć jeszcze trzeciego człowieka, księdza, chcącego się zajmować poezyą. Nikt się o mnie nie pytał, w zaniedbaniu nie wiedziałem, na co żyję; w domu byłem widocznie tylko cierpianym; umyśliłem więc, puścić się w drogę do stryja, który był i prawym moim opiekunem. Szło tylko o to, że byłem zupełnie odarty, a tak nie śmiałem się pokazać w domu stryja, gdzie jak słyszałem, bywali

gości. Wynalazłem na moim strychu walający się surdut, niegdyś lokajski, po poczciwym Macieju, który go po śmierci ojca mego zrucił i został na powrót parobkiem. Prosiłem o niego macochę, otrzymałem, a po różnych naradach z krawcem wiejskim, który się długo wahał jąć tej roboty, przechodzącej jego umiejętności, skleił się surdut dość poczesny, po odjęciu wszelkich znaków lokajskich. Tak wystrojony nie wahałem się wystąpić na świat za granicę Przybrodu. Udałem się o pół mili do Lipnicy, do księdza wikarego, który znał mego stryja, z prośbą o poradę. Widząc mój stan próżniactwa, mój stryj skłonił się, iż miałem być wyprawionym konno z przewodnikiem do Wojnicza. Macocha wyjechała na dłuższy czas – nie mówiąc nic nikomu, puściłem się w moję drogę, pełen najświetniejszych nadziei. Mój stryj i opiekun był przykładnym i oświeconym kapłanem, dobrym przy i hojnym dla gości sąsiadem, miał piękne dochody, lecz za to nie miał ducha ekonomicznego, nadto obciążony był familiją, bo oprócz nas, czworga

dzieci po jednym bracie bawiło przy nim, po drugim matka z córką. Mniéj czule przyjątem niezbyt uprzejme przyjęcie, szczęśliwy żem się połączył z rodzeństwem, szczególniéj z bratem starszym.

Wojnicz leży w przyjemnym położeniu, blisko Dunajca, owéj rzeki porywczéj, gwałtownie często wzbierającéj, tak, iż często drewa, trzody i szopy pasterskie w górach zerwane pędziła. — Probostwo składało się z obszernego bardzo porządnego mieszkania z drewa po starosświecku, i z przepysznego ogrodu włoskiego, którego czołem był sad, mający najwytworniejsze owoce; kilka miesięcy pobytu mego w tem miejscu, liczę do dni najszczęśliwszych młodości mojéj; wszyscy czworo, to jest dwie siostry i dwóch braci, mieliśmy jedne skłonności, lubiliśmy czytać wiersze i po spacerach między wzgórami piękne wynajdywać okolice. Ksiądz stryj dzielił z nami po części to usposobienie. W jednéj altanie ogrodu leżała na stoliku spora księga, gdzieśmy wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Jędrzej celował dowcipem i pracą, od wszystkich najwięcéj kochany. Najulubieńszą lekturą naszą były sielanki Gesnera zwierszem prze X. Chodaniego

przełożone. Wszyscy nie tylko pisaliśmy sielanki, na wzór Gesnera, ale nasze dziecinne rodzinne życie prawdziwą było sielanką. Ja najwięcej się przywią- załem do Szczesnej, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego wieku ze mną i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściej na łąki, zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowa- dziła się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiła przy państwie Mroszewskich, w pałacu pięknie ume- blowanym, a raczej trudniła się dozorem domowego gospodarstwa. Sam niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu pod umó- wioną morwę, gdzie wybiegała do mnie, przynosząc mle- ka kwaśnego i chleba, tudzież książki, jakie z biblio- teki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu, gdyż się zawsze oka- ~~kochaliśmy~~ zye trafiały; kochaliśmy się się najczulszą braterską miłością, weseli w zabawach, a zbyt może sielankowi i gesnerowi w naszych listach. W ogrodzie stryja zrobiliśmy oboje mały ogródek, nad którym najwięcej pracowaliśmy, kanapkę z darni

zrobiłem i starałem się przesadzać do niego najwięcej polnych kwiatków, które się rzadko przyjmowały, tam było nasze ulubione siedzenie. Nigdzie, gdzie stryj i siostry bywały, pokazać się nie mogłem, bo oprócz zbyt lichej garderoby, byłem w najwyższym stopniu nieokrzesany, nieśmiały, lubo w gruncie czułem słodycz ugrzecznienia, obyczajności wyższego świata, o jakim tylko z daleka słyszałem i pragnąłem poznać. Kiedym przechodził koło pięknych dworów, których w tej okolicy pełno było, wystawiałem sobie, że wewnątrz nich jest raj prawdziwy. W imaginacyi stawiałem się pośród dam, byłem zręczny, przytomny a nawet układałem dowcipne odpowiedzi i komplementa, na różne zajść mogące pytania i okoliczności. - Nieraz znakomita dama mijając biednego chłopca, nie wiedziała, że tenże układa właśnie do niej w swej głowie najsubtelniejsze wyrazy uczuć i dowcipne, jedynie od samej natury czerpane. Nawet później nigdy w życiu nie umiałem zrealizować czutych w sobie zdolności i chęci. - Zawsze nieśmiały, nieprzytomny, dopiero wracając od dam, po drodze ślicznie i dowcipnie odpowiadałem, rumieniąc się i niepokojąc, że tak niezgrabny

być mogłem. Raz istotnie starościna Dąbska, o któréj wykształceniu największe sobie sprawiłem wyobrażenie, raczyła do mnie na spacerze przemówić. Trafteń niespodziany tak mi odebrał przytomność, że coś nie zrozumiałego mruknąwszy w największym pędzie uciekłem i już z każdego odtąd miejsca uciekać musiałem, gdzieby mnie ujrzeć mogła. Taką moją nieśmiałość czułem głębiéj nad wszelkie cierpienia; ona mnie prześladowała i prześladować będzie do końca życia, i jest główną przyczyną wszelkich we mnie innych niedoskonałości i niefortunnych kolei. — Nie widząc nigdy towarzystwa jak mówią wyższego świata, najwięcéj o niém lubiłem marzyć, i nic dla mnie naturalniejszego nie było, jak dobrą, grzeczną damę uważać za bóstwo prawdziwe. Tem wyobrażeniem nie upoiły mnie romanse, bom dotąd żadnego w życiu nie czytał, ani poezyje, bo najwięcéj i jedynie miałem na pamięci pasterki Gesnera, lecz sądziłem, że słodycz obyczajów, cnoty, jakie tenże w pasterkach malował, znajdują się rzeczywiście w towarzystwie wyższego świata. Gesnera Idylle, mające za przedmiot naturę, są jak to

każdy dziś czuje, najmniej naturalne i już zapewne nikt ich nie czyta, lecz właśnie ta idealność Gesnera, jest podług mnie jedyną poezyją dla wieku dziecinnego, który jak swojej własnej tak i w sztuce oddanej, szczerej niewinności i uczuć dziecinnych nie zdoła czuć, bo ich z niczem porównywać nie umie, bo nie wiedząc o tem, sam ich jest pełniejszy, niż wszyscy poeci. Właśnie więc dla tego Gesner podoba się młodości, że nie maluje rzeczywistej natury, że wystawia świat idealny, w jaki tylko wiek dziecinny wierzyć może i do jakiej najwięcej jest skłonny. –

Dla tego też może Gesner od wykształconej społeczności we Francyi więcej, niż wszędzie był uwielbiany, bo tej prawdziwie idylicznej natury czuć już nie był w stanie tak, jak umysł dziecinny czuć jej jeszcze nie może. Szczęsna siostra widziała nierównie więcej świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała w znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrzesanie wcale jej nie odrażało i często wymykając się od zabaw i gości wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, który nawet okna unikał, gdzie widział

gości. Każdy przysmaczek, jaki się jéj dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy naszéj, rozumowania były, jak mówiła, więcéj nazierające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jéj wyższego poloru miałem taki, iż nigdy nie odważyłem się jéj dać braterskiego pocałunku; żyliśmy z sobą jak bracia, i po niéj uważano, że ma więcéj męzkich skłonności.

Brat mój Andrzej umieścił się tymczasowo u starosty Dąbskiego, jako sekretarz. Mieszkanie starosty było jedno z najwspanialszych w okolicy; wkradałem się często do niego z największą obawą, równie aby mnie pies, starościna lub dama jaka nie spostrzegła. W całym tym pięknym dworze polskich książek prawie nie było, lecz tylko francuzkie, którego języka obadwa się my nie rozumieli. — U doktora dworu wynalazł brat poezyje niemieckie Hallera, zdobycz dla nas ołudziona niezmiernie ważna, ja mało mogłem go zrozumieć, brat mi tłomaczył, piękniejsze miejsca

nawet wierszem przekładać. Wiersz do wieczności szczególniej nam się podobał. Wkrótce byłem w stanie zrozumieć całego Hallera, niezmiernie uradowany, że są rzeczy głębiej zajmujące jak sielanki Gesnera w tłomaczeniu Chodanego. — Gdy raz starostwa wcale w domu nie było, miałem sposobność obejrzeć pięknie umeblowane pokoje; widok ten sprawił we mnie zadziwienie. Na obrazy żadnej nie zwróciłem uwagi, lecz alabastrowe wazony, szczególniej zaś figury gipsowe, parę marmurowych czy mozajkowych kolumn, nęciły mnie tyle, iż się im napatrzyć nie mogłem. Snycerskie roboty ołtarzów i rzeźby, których tyle w kościołach krakowskich, mało mię niegdyś zajmowały, ale te rzeźby z antyków naśladowane, już dały mi poznać, że w ludzkiej postaci coś nadludzkiego mają.

Nie mogłem odtąd patrzeć na żadne tłuste, złocone po kościołach aniołki. Dotąd nad wszystkie sztuki najwięcej mnie zajmuje rzeźba starożytna; ona jest wyobrażeniem spokoju i duszę pokojem zapełnia.

Gdy się pozostałością po ojcu zajęto, pokazało się, iż jako tako parę lat jeszcze w szkołach pobyć możemy. —

Brat Jędrzej udał się do Krakowa, ja napowrót do Tarnowa, do mego Węgrzyna ~~Krenera~~ wygrzeza. Jednakże fundusz na moje utrzymanie w Tarnowie, lubo najskromniejsze, na rok tylko wystarczał, gdy mi 3 lata koniecznie do ukończenia szkół było potrzeba. Zmuszony byłem dzieci uczyć po domach, lubo najmniej miałem do tego usposobienia, a to szczególniej z powodu powolności, która dla zbyt żywych w tych stronach dzieci nie była stosowną. Mój zawód pedagogiczny, wypadało mi zacząć od synków Żyda zamożnego, który nie chodził w zwykłym ubiorze żydowskim i pragnął szczególniej aby dzieci po polsku umiały. Wybór do tego zdarzyły nie moje zdolności, ale pokora i powolność, która mnie z oczu i ubioru oznaczała. Dla Żydków bojaźliwych, od młodzieży prześladowanych, takiego było potrzeba. Jakoż dobrze obie strony wyszły, bo te dzieci były niezmiernie posłuszne, a przytem pokorne, a ja nie potrzebowałem sobie dodawać powagi pedagogicznej. Postęp był coraz lepszy, ojciec po dwa razy podwyższył mi wynagrodzenie, a matka rozpłakała się z radości, gdy

dzieci najmłodsze płynnie czytało. W dzień sabatu miałem zawsze wyborne ciasta dane mi w chustkę, które pożywałem z kolegami, a ci powoli przestali mię prześladować, żem jest żydowskim belfrem. Miałem za te godziny 3 reński na miesiąc, co było płacą nadzwyczajnie hojną, gdy gdzieindziej po jednym i pół tylko dawano. Nabierałem powoli wprawy w nauczaniu, lecz za to, uczenie się szło bardzo niepomyślnie. Gimnazyalne szkoły w Galicyi wówczas urządzone były tak, że prócz języka niemieckiego i łacińskiego, żadnej prawie nauki powziąść w szkołach nie można było, sintaxis, retoryka i poetyka, w najdrobniejszych szczegółach zawikłane, nużyły umysł i obciążały pamięć; miałem do nich wstręt najwyższy; natomiast wolałem tłomaczyć autorów; w pierwszym roku mieliśmy professora, pod którym cały rok zszedł na niczem. Był to pijak i cynik w najwyższem znaczeniu wyrazu; całą przestrzeń jego płaszcza między podszewką a suknem, zapełnioną była kajetami naszemi, które stanowiły pościel tego filozofa, jak go nazywano. W mieszkaniu jego

żadnego co się zowie, sprzętu nie było, natomiast cała podłoga osuta barłogiem, który stanowiła obszerne łoże, a kajeta za poduszkę służyły. W płaszczu mieścili się czasem butelki węgrzyna, z których popijał bez względu, gdzie myśl do tego przyszła, czy na ulicy, czy w szkole. Lekcije swoje przekrzyczał z całej siły głosem olbrzymim. Rzucaliśmy wtedy na niego gałki z papieru i piasku, które z stoicką wytrwałością chwytał i do innych zasobów w wszyw płaszczu wsuwał, wciąż deklamując. Gdyśmy odbywali pobożne processije parami, komenderował nami głosem piorunującym, jak dywizyą dragonów, na widowisko ludowi. Nie pojmuję jak to wszystko ścierpiano; ten nieszczęśliwy skończył przecież utratą rozumu, gdy krótki kożuch i karabelę przywdziawszy, podczas kazania wszedł na ambonę, kaznodzieję za kołnierz porwał i chciał mieć naukę. Ten wypadek zdał się bacznej zwierzchności dostatecznym do usunięcia tego nauczyciela, jako żeśmy go potem nie widzieli. — Był drugi professor Niemiec, nazwiskiem Schmidt, którego zawsze zachowam w pamięci.

Proszę córki, dla któréj domowéj rozrywki godziny
spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy
i za niego westchnęła do Boga. – Stan poczciwego
nauczyciela jest zawsze stanem męczeńskim, zasłużo-
nym ludzkości, który niezawdzięczany cierpieć musi
niesforność, jakie dzieci bądź od natury, bądź od rodzi-
ców przynoszą, który jak najemnik za lichą zapłatę
co rok nowe pola obsiewać i plewić musi. Był
to człowiek rzadki, wolny od pedantyzmu, łagodnie
i z przywiązaniem około swojéj winnicy chodzący.
Dostrzegł on niejakie naturalne moje zdolności w pi-
smach, jakie mu po łacinie i po niemiecku podawa-
łem. Gdy raz moję robotę rozbierał, powiedział wręcz,
iż ję przepisałem zkądinąd. Pochlebiało to mojéj
miłości własnéj, lecz razem napełniło żalem, iż
z nauczyciela, któregom kochał, mieć nie mogę do-
brego mniemania, który sam dał poznać, iż na nie
nie zdołałem zasłużyć. – (gdy się o tem wywiedział) zaprosił mnie raz na po-
dwieczorek (były to dla mnie pierwsze w życiu zapro-
siny). zręcznie i łagodnie począł wybadywać, lecz nie-
szczęściem nie poznał we mnie nic więcéj, jak

zaród poety w języku, który uważał za niewdzięczny i już z narodem umierający. Zachęcał mnie do poezyi niemieckiej, pożyczył mi pism Utza, Kleista, Hagedorna. Pożerałem szczególniej Klejsta, lecz zamiast probować sił w wierszach niemieckich, przynosiłem mu przekłady polskie z tychże poetów, a jako wynagrodzenie za posłuszeństwo, oddawałem robotę w prozie niemieckiej. – Obojętny był na to, że ze wszystkich współuczniów najmniej się uczyłem obszernych przepisów o syllogizmach, a gdy się przekonał o zupełnym wstręcie moim do matematyki, której początki dopiero w tej klassie dawano, całkiem mnie od niej uwolnił. To jednak zupełne zaniedbanie tej nauki, wiele mi później przykrości sprawiło. Chciwy na książki polskie, nigdzie ich dostać nie mogłem, prócz niektórych romansów, które mnie wcale nie zajmowały. Z niemieckich prócz wspomnionych wyżej poetów, udało mi się dostać Goethego i Wielanda, niektóre poemata. Pierwszy długo był moim ulubieńcem i najwięcej odpowiadał memu usposobieniu. Pisałem i tłumaczyłem po polsku,

bez żadnego wyobrażenia o grammatyce języka, nawet pisowni polskiej. Uzbierawszy sumkę przeszło złt. 10, znalazłem sposobność sprowadzić sobie kilka książek polskich z Krakowa. Niecierpliwość moja w wyglądaniu sąsiada, który miał z niemi przybyć, była taką, iż przez tydzień może wychodziłem pół mili na gościniec, azali go nie spotkam. – Zakazane było czytanie polskich książek, z powodu jak mówiono, aby nie zaniedbywać obcych języków. Prefekt szkół dowiedział się o tym transporcie dla mnie, przybył do stancyi i bez wszelkiego względu zabrał tę kontrabandę; książki te były: Wybór poezyi dla szkół przez Pijarów w Warszawie wydany. Paweł i Wirginia, przez B. de Saint-Pierre po polsku i jakieś dzieło Floryana. – Obciążonego tym łupem księdza musiałem odprowadzić do domu, gdyż mieszkałem na wzgórku, z którego zejście podczas odwilży było śliskie. Prosby moje o oddanie tych książek były daremne. Często nawet odbierałem wyrzuty, iż czytam książki zakazane, co już wtenczas buntowaniem nazywano. – Jednego razu kupując u przekupki jagody, postrzegłem iż dla zrobienia trąbki dla ich wsypania

udarta z dawnej książki kartkę z gockim drukiem, na której dostrzegłem napis: rytmy Jana Kochanowskiego, którego tylko niektóre psalmy z książek nabożnych znałem. Zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwałem książkę, a raczej to, co jeszcze na trąbki nie poszło i najśpieszniej z nią uciekłem. Przekupka, a za nią wszystkie towaryszki narobiły hałasu, prefekt jakoś znalazł się na rynku i tak zdobycz moję, jako niegodziwy winowajca oddać musiałem, a sam na kilka godzin poszedłem do kozy, gdzie miałem dosyć czasu dumać nad moją nieroztropnością, iż z właścicielką nie wszedłem w układy, któraby zapewne rytmy Jana Kochanowskiego zamieniła na jakie studenckie kajeta. — Uwolniony nie śmiałem się jej i towarzyszom pokazać. — Wśród tych przeszkód przywiązanie moje do poezyi coraz więcej wzrastało, najwięcej czułem przyjemności ukryć się się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mi na myśl przyszło, i deklamować. Na pięknej górze S. Marcina, przy gruzach zamku Tarnowskich w ogrodzie pustelnik, ćwierć mili od miasta, do

księcia Sanguszki należącym, poddawałem się zewnętrznym wrażeniom i używałem. Rozkoszna była blisko miasta dolina, prowadząca do drewnianego kościoła S^{tej} Trójcy, środkiem którego płynął potok pomiędzy olszynami, miejsce miłej wrzawy różnego ptastwa. Lecz najmilsze były mi przechadzki po brzegu rzeki Białej, lub po gościńcu, - woda zdaleka płynąca, spotykanie dalekich podróżnych, mianowicie furmanów niemieckich, których kraj przez poznanie poetów był dla mnie poetycznym, oto, co daleko żywiej do marzeń skłaniało, niż spokojne góry doliny. Stawać przy oberżach, przypatrywać się podróżnym zakurzonym, brykom furmańskim i przenosić się myślą w odległe miejsca, było to dla mnie niejako odbywać podróż w dalekie urocze strony, do których tęskniłem. Długo nie miałem o szczęściu wyobrażenia wyższego, jak jechać i jechać najdalej. Brat Jędrzej pisywał do mnie ze Lwowa, przysyłając swoje poezije i rady nad mojemi. Czyste jego serce gorzało poeziją dla samej cnoty i wszystkie jego listy dążyły najwięcej do obudzenia

we mnie moralnych uczuć! Nie miałem podówczas ważniejszej chwili życia, jak gdy mi przysłał drukowany tomik swoich poezyji, w którym miłością braterską powodowany, umieścił parę mych wierszy. Radość ze sławy brata i mojej była trudną do wyrażenia; to tylko nieprzyjemnie mnie było, iż czyniąc wzmiankę o mnie, który już retoryki słuchałem, małym chłopcem mnie nazwał; w samej rzeczy pochwała ta mogłaby mieć na mnie wpływ szkodliwy, gdybym był otoczony ludźmi, coby na studenta jakąkolwiek uwagę zwrócili. — Z honorarium, jakie za to pismo otrzymał udzielił mi 5 zł. reńskich; wiadomość o tem więcej, niżeli o książce rozeszła się między kolegami, z któremi tę summę upojony radością w większej części straciłem. — W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednej istoty, któraby moje zamiłowanie dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak obcowania z poezyją jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywo zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana, trwać powinna wiecznie i życ poświęceniem.

Młodzieniec jeden, Karpiński, samem nazwiskiem zwró-
cił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety
i do poezyi najmniejszego nie czuł powabu. Powolny,
cichy, jak aniół niewinny, zajął całe me serce i stąd ten
tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowie-
dnie imieniu był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła,
jam zachęcał, pomagał; ale to nie szło – ubogi i słabo-
wity, przestał do szkół chodzić i więcej o nim nie słyszałem.

W Adamie Chłędowskim spodziewałem się znaleźć
skarb, któregom pragnął; wychowanie jego było staran-
ne w domu; miał wiele książek, map i rysunków;
był jednym z najzdatniejszych i najciekawszych, ale
przesadzonej mojej sentymentalności wcale nie odpo-
wiadał. Pisałem do niego wiersze pełne uniesień przyja-
źni, kochałem go tem więcej, że wzajemności nie wi-
działem; jego ton zawsze żartobliwy, dobry byt w po-
równaniu z mojem ubóstwem, czyniły mnie do niego
nieśmiałym i często w samotności płakałem nad moją
nieszczęśliwą przyjaźnią. Bywałem jednak u niego,
aż do czasu, gdy stryj jego z prowincyi przybył,
i ujrzawszy mnie i po moich ubogich sukniach osądziwszy,

chcąc synowca swego od złego towarzystwa uchronić, groźnym tonem kazał mi się oddalić, co na mnie takie sprawiło wrażenie, że z Chłędowskim wszędzie wszelkiej unikałem rozmowy i poznałem iż to zdarzenie było dla niego obojętnem. Do dziś dnia łączyły mnie z Chłędowskim różne stosunki, ale żaden ślad dawnej przyjaźni odnowić nie mógł. – Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie tylko egzaltowana moja wyobraźnia wystawić mogła. – Był to syn professora, Parczewski Karol, o parę i więcej lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w myśl czasach piękny jak anioł, zawsze uniesiony, pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie dość smutne było początkiem naszej najgorętszej przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilkanaście dni już znaleziono jego ciało okropnie oszpecone i przywieziono do domu. – Całą noc po tym widoku nie spałem i łzami papier polewając, napisałem Elegią na śmierć nieszczęśliwego, jedyną poezyją, którą spółkolegom przeczytałem,

która ich wszystkich zajęła, jako wynikła z darze-
nia, które na wszystkich uczyniło wrażenie. Nawet
professorowie pochwalili tę moją pracę, a młody Par-
czewski ze łzami rzucił się w moje objęcia, nie mogąc
słowa przemówić. On przyprowadził do mnie nieszczę-
śliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy
się o okropnym losie syna z prowincyi przybyła.
Ona rzewnie płacząc, ściskała mnie, według jej wy-
razów jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim
które jej doszły. – Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierw-
szy uścisk kobiety i matki, że to było u mnie rzeczą
nadzwyczajną i żem płakał, jak małe dziecię, myśląc
że nie mam matki, któraby na mój zgon była podo-
bnie tkliwą. – Ani Parczewski, ani ja, nic nie wiedzie-
liśmy o sławnej przyjaźni u Greków, ale wzajemnie
nasze przywiązanie było nadzwyczajne, i śmiem po-
wiedzieć przypominało przyjaźń grecką. Pisaliśmy
do siebie nawzajem wiersze pełne naszych najżywszych
uniesień przyjaźni, przy powitaniu i pożegnaniu na
parę godzin, nie mogliśmy się od ust oderwać, niceśmy
nie mieli skrytego dla siebie, nic osobnego. – Uczucie

~~religii~~ przyjaźni wzbiło nas do takiej pobożności, żeśmy po ko-
ściołach, po cmentarzach, razem chodzili, na klęczkach
się modlili: on za mnie, ja za niego, on za moich
zmarłych, ja za jego żywych rodziców. Płakaliśmy
razem z rozrzewnieniem, jak ludzie najszczę~~gólniej~~śliwsi
i kryli się przed płochą młodzieżą, któraby nas z tych
uczuć wyśmiewać mogła. Z nim zapomniałem
o wszelkiej sztuce w poezyi i tylko wzajemne dla
siebie uczucie nas zajmowało. Płakaliśmy, ściskali
się, gdyśmy co razem swojego lub ~~za~~ dobrego czytali.
Martwiłem się skrycie, żem jego niegodny; postać jego
była ujmującą: rumieniec przy białości i przy krętych
włosach ~~płowych~~ blondynowych, ubiór staranny, a najwięcej piękne
pokorowne ułożenie, czyniły go w moich oczach czemś
niezmiernie wyższym nademnie. — Ja dzikości mojej
dotąd nie pozbyłem się, i ubiór był ułożeniu memu
odpowiedni; jam jeden chodziłem w surduciku z pło-
cienka, z czarnemi prążkami, co mnie dziwnie orygi-
nalnym czyniło. — Po długich prośbach i wahaniu
się ośmieliłem się wejść do jego domu rodziców. Ojciec
prosty i poczciwy, zalecił mi uczyć się pilnie języków,

i przyjął bezpłatnie na lekcye języka francuzkiego, któ-ry on jeden prywatnie w Tarnowie wykładał. Matka dbała się o moje domowe potrzeby, które jak dla mnie były istotnein dobrodziejstwem, tak truły we mnie dotąd tak czyste uczucia przyjaźni; tłumiłem je w sobie, je-trząc się myślą, czy podejrzane nie będą. - To zaręcie życia prawdziwie dla mnie elizyjskiego, przerwane zo-stało, oddaleniem się mojem na wieś do Stużewa, gdzie ugodzony byłem do czterech synów, których miałem być instruktorem. Stużewski był obywatel na jednej małej wiosce, mający siedmiu synów, dla których całe życie poświęcał. Sześć tygodni tylko w tym domu przepę-dziłem, gdzie panowały staropolskie obyczaje, prostota i zgoda domowa, były dla mnie przyjemne, gdybym był wstanie podołać moim obowiązkom, prowadzenia czterech niezmiernie żywych wyrostków, z których dwaj nie o wiele młodsi byli odemnie. Na szlachectwie tu ta-kie bardzo wiele zakładano i dla tego obiecywałem sobie przyjemność, gdy tamże zastałem moję dawną wdowę panią Putiatycką, która podupadła na biednej swojej fortunie i na zdrowiu, i w tym domu jako krewna

przytułek znalazła; lecz ujrzałem ją nader uprzejmą i pełną dla mnie dobroci, ku czemu posłużyła szczególniej następna okoliczność.

Uboga moja garderoba dochodziła do tego stanu ostateczności, że zmuszony byłem jedyny by mój surducik igłą od zupełnego rozprzężenia jego części ratować, zwłaszcza na dzień imienin gospodarza domu. Dla spokojnego odbycia tej operacyi, udałem się w gęstwinę nad strumykiem, gdzie się lubiłem z moim ołówkiem przechadzać. Kiedy w największej spokojności dzieło moje do połowy doszło, z niemałem pomieszaniem ujrzałem przed sobą Panią Putiatycką. Niepodobna mi było zarzucić sukni będącej właśnie w robocie, ani śmiałem stanąć przed damą na wpół rozebrany. Z największą jednak łagodnością wyprowadziła mię sama z ambarasu, unikając wszelkiego zawstydzenia; rzuciła znawczem okiem na moję pracę, uczyniła krytyczne objaśnienia, wkońcu podjęła się sama restauracyi mego surduta i śpiesznie oddaliła się po lepszą igłę i nici. Jakoż po krótkiem posiedzeniu dzieło zostało ukończone; wśród roboty usłyszałem dosyć

dorzecznych morałów o pracowitości i znoszenia ubóstwa; nakoniec względne przyrzeczenie, że ten wypadek zostanie między obojgiem świętą tajemnicą. Miałem dla tej damy największy szacunek, a ona była dla mnie uprzedzająca. Po ferijach udałem się z niemi dwiema do Tarnowa. Dla pięciu najęty mieliśmy alkierzyk u krawca z taką ugodą, iż gospodyni obowiązana była, gotować nam żywność, którą posłaniec ze wsi co Sobota na plecach przynosił, z pewną sumką na mięso, cztery razy na tydzień w mieście kupowane; miałem na spiżarnię obszerną skrzynię, której byłem szafarzem. Przy takiém mieszkaniu stałe miałem wynagrodzenie 25 reńskich na rok. Tém i parą innych lekcyi opędzałem wszystkie moje potrzeby, gdyż od opiekuna i od krewnych już żadnéj nie miałem pomocy.

Z Parczewskim żyliśmy jak dwaj bracia, i matka jego okazała dla mnie macierzyńską troskliwość. Zapobiegała różnym moim potrzebom i w przypadłej chorobie wszelką dawała pomoc. Czytaliśmy bardzo wiele, gdyż miał sposobność dostawania z różnych miejsc książek, między ,,rytem po ~~w~~ojennu schronieni

przeczytaliśmy Iliadę Dmochowskiego i Wybór pisarzów polskich, których Mostowski zaczął wydawać. Więcej jednak niż wszystko, zajęły nas Nocy Younga prozą w Lublinie wydane; dręczyliśmy biedną jego matkę, czytając jéj jednotonnie to dzieło mimo wzniosłości dość z siebie nudne.—

Kończąc już ostatnią klassę szkół, zacząłem uczuwać niespokojność o moję przyszłość. Ile opiekuna wyrozumieć mogłem, dał mi do poznania, że najlepiéj będzie udać się gdzie do dworu za pisarza lub wejść do wojska austryackiego, i raz mi powiedział: Żołnierzowi prostemu bardzo przystoi, gdy po mustrze przy książce spoczywa.— Niewola ucznia dzieci zdała mi się nieznośną; macocha wjeżdżała często 4 końmi w paradnym pojeździe po rynku Tarnowskim, lecz ani o mnie kiedy się spytała, ani ja do niéj zgłosić się nie śmiałem.—

Po utworzeniu księstwa Warszawskiego, zaczęły nas dochodzić niektóre gazety warszawskie, coraz powszechniejsze były rozmowy o niéj i o Polsce, mnie najwięcéj zajmowały literackie wiadomości. Czytałem o biskupie

Albertrandym i ktoś wystawił mi go bardzo jego grzecz-
ność i zamiłowanie w ludziach oddających się naukom.
Snowałem więc różne projekta dostania się do
Warszawy, ale widziałem zupełnie moją niemożność
przy takich środkach; zebrałem co mi się najlepszego
z moich rymów zdało, napisałem list pełen zapału
do biskupa Albertrandego, prosząc, aby mnie do jakich-
kolwiek usług w Warszawie przyjął. List ten nie miałby
zapewne skutku, gdyby był doszedł, lecz odebrałem go
napowrót z poczty, gdyż właśnie w tym czasie Alber-
trandy żyć przestał. Oddano mi go odpieczętowany
z połajaniem, gdyż był pełen niewczesnych patryoty-
cznych uniesień. —

Trudno sobie wystawić jak mało mieliśmy wszyscy
młodzi wyobrażenia o naszej Polsce, o jej dziejach i sta-
nie; miłość ku niej żyła tylko wrodzonem uczuciem,
niedokładnemi tradycyami i jakąś przez zwyczaj szkol-
ny odziedziczoną nienawiścią ku Niemcom. Ja też nie-
nawiści nie czułem; malowanie pięknej natury w nie-
mieckich poetach najwięcej mnie zajmowało, przywią-
zało mnie oraz do ich kraju i ludzi, których sobie

zawsze idyllicznie po Gesnerowsku wyobrażałem. Nawet w towarzystwie uczniów upatrywałem w ogóle więcej przyjemności, może stąd, iż powszechnie byli prześladowani, ale więcej dla tego, iż mieli więcej słodyczy i łagodności, chociaż mniej bystrości. Młodzież polska była wtedy daleko więcej niż dzisiaj nieposkromioną. Bitwy z wiśniakami z okolic, nie mówię już o Żydach, rabowanie w żołnierski sposób owoców grochu, repy z pola, wyzywanie na kije, były to zwyczajne zabawy.

Uczucia i rozmowy patryotyczne odzywać się zaczęły od r. 1806 i mnóstwo młodzieży przez rozmaite dowcipne sposoby umiało się przednić do szeregów Napoleona, i każdy z nas zakładał sobie, iż w tym tylko celu dorasta. Zjawiły się śpiewy patryotyczne i dysputy o polityce, z któremi zawsze udawaliśmy się do lasu. O wolności, o prawach człowieka nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, całą podnietą naszych uniesień było: imię Kościuszki i Dąbrowskiego, strój polski i język. Księstwo Warszawskie zdawało nam się krajem cudów, ziemią obiecaną, wszelkie i groźne i łagodne środki ku zwróceniu tych uczuć były daremne.

Przysłano raz z Wiednia pieśń niemiecką, to jest modlitwę za cesarza, aby w kościele śpiewaną była przez uczniów; kilku najstarszym, którzy zwykle podczas śpiewania zaczynali, zalecano wyuczyć nas tej pieśni do śpiewania w kościele. Nauka odbywała się w polu bez świadków, wynaleziono więc do tej pieśni nutę mazurka i tak wyuczeni, zaczęliśmy ją śpiewać z całej mocy w kościele. Zdziwieni i nieszczęśliwi professorowie, obiegając nasze szeregi, nie mogli przerwać tej niedorzecznej nuty. Przywódcy nasi skazani byli na klęczenie w środku kościoła przez mszę całego roku, lecz wszystka młodzież umówiła się z niemi razem tę karę odbywać. Łagodny rząd austryacki całą tę sprawę w kilka dni umorzył. W roku 1809... przed rozpoczęciem wojny, sztabowy oficer delegowany do naszych szkół, odczytał odezwę, zachęcając, aby młodzież udawała się w szeregi do obrony cesarza i państwa austryackiego. Po mowie z wielkim zapałem wymarzonej zapytał, czy jest kto gotów bronić sprawy ojczyzny i króla. Po długiem milczeniu złośliwy jeden kolega wymówił moje nazwisko, kazano mi wystąpić na środek — szczupły, zdziwiony

a więcej jeszcze przelękniony, wzbudziłem śmiech powszechny w delegacyi, professorach i uczniach; i w taki sposób zakończyła się ta scena patetyczna.

W tym czasie wydał był Collin poeta w Wiedniu pieśni patryotyczne; poezye te były pełne czystej miłości ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów, i tak mnie zajęły, iż nie wchodząc bynajmniej, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom, obrońcom Polski pisał, w kilka dni z łatwością, jakiej dotąd nie czułem, wszystko wierszem polskim oddałem. Nie widziałem w tem nic nieprzyzwoitego lub przeciwnego dobremu Polakowi; owszem zdawało mi się, że te uczucia są polskie i nie mając myśli, żadnych wyrzutów, czytałem je przyjaciołom, którzy tylko radzili mi zmienić miejsca, gdzie była wzmianka o Niemcu lub o domu Habsburgskim. W kilka dni, gdy się ta moja praca rozeszła, wezwany zostałem urzędownie do kapitana cyrkułu. Trzymając w ręku pięknie pisane wszystkie te pieśni, oddał pochwałę memu patryotyzmowi, z czego obecny prefekt szkół niezmiernie się cieszył i mnie po głowie ucałował. Urzędnik oświadczył

nakoniec, że ten mój przekład przesłany będzie do Wiednia, że mu znajomy jest mój stan, że zatem przedstawi mnie do instytutu Terezijańskiego w Wiedniu, gdzie na koszcie cesarskim wyższe nauki pobierać i ciągłej opieki doznawać będę.

Zadziwienie i radość moja chwilowa trudna jest do opisania. Być w Wiedniu, pobierać wyższe nauki, mieć zapewniony dalszy sposób do życia, było to szczęście, które ~~w~~ ostateczności mojej, jak z nieba mi spadło. Nie pojmuję skąd to poszło, że z kolegów tyle tchnących nienawiścią ku Niemcom, tyle zajętych toczącą się wojną w Księstwie Warszawskiem, żaden nie dał mi uczuć nieprzyzwoitości mego położenia. Z tem samem niewinnem uczuciem, z jakiem tłomaczyłem Collina, składałem pieśni patryotyczne polskie, z których kilka jeszcze dotąd mi się dochowało. Kilku już kolegów, mimo surowego zagrożenia szubienicą, zniknęło, udając się do wojska polskiego; mnie nikt nie namawiał do tego, bo znaną była powszechnie moja słabowitość i zupełna niespo~~so~~bność do wojska. Tymczasem wszystkie moje marzenia o szczęściu w Wiedniu,

przemogła tęsknota do kraju, który mógł nazwać
się polskim. – Całe wieczory trawiłem samotnie w Pol-
sce, że łzami wylewałem na papier różne uczucia,
jakie mną miotały, czyniłem sobie wyrzuty, stanowiłem
wyjść do wojska polskiego, lecz natura moja wzdrygała
się od wszelkich wojen. Parczewski odwodził mnie od my-
ślenia o tem, ale uczucie zdawał się podzielać. – Przypad-
kiem zasłyszałem o jednym uczniu Niemczyku o 4 może
lata młodszym odemnie, który miał zamiar do Pola-
ków się udać. Jeden wieczór rozmowy ustalił nasze po-
stanowienie, przedsięwzięliśmy nazajutrz wyruszyć. Po-
mógł do tego oficer polski przebrany, który przepisał nam
drogę i przyrzekł pomoc obywatelów. Tego samego wieczora
udałem się do Parczewskich, zwierzyć się mego zamiaru.
Ojciec chciał niby o tem nie wiedzieć, matka i syn lubo
z płaczem, przystali na to. Rano nazajutrz o świcie udałem
się jeszcze do nich; od matki otrzymałem naprzód medalik
z Matką Boską w skórę obszyty, który mi kazała na pier-
siach nosić, trzy dukaty w złocie i kilkanaście reńskich, a nawet
paczkę szarpii. Po rzewnem błogosławieństwie i dziękach, poże-
gnałem przyjaciela i dobrodziejów i w połączeniu z towarzy-

szami ~~szem~~

przygód ruszyliśmy polami w naszą podróż. Stara-
nie tymczasowe o moich cewach, aż do przyjazdu
ojca przyjął na siebie Parczewski. –

II.

Wędrówka nasza była dość niebezpieczna. Zape-
wniano nas, że korpus obserwujący Galiczyna, któ-
ry wówczas ciągnął niezmiernie powoli przez Galicyę
miał udział w chwytaniu zbiegów do wojska Polskie-
go. Omijaliśmy więc starannie wszelkie przewłóczące się
kommendy. Wstąpiliśmy do jednego obywatela gdzie-
śmy zastali same kobiety. Prosiły nas i ratowały
szczególniej Niemierzyca, który obok mnie był malutki
i jeszcze szczuplejszy. Nagle dano znać iż kozacy
wpadli na podwórze. My naturalnie uprzedzeniśmy
byli że to za nami. Spólnie więc z damami schronili-
śmy się w różne kąty zartując z tych najpierwszych
dowodów naszej rycerskiej odwagi. Dalsza podróż od-
bywała się wszędzie pomyślnie. Obywatele i wieśniacy
sami zwyczajeni już byli w podobne przechody, mieli
sposoby ułatwienia podróży i czynili to z wszelką pa-
tryotyczną gorliwością. Blisko jednak granicy w miejscu

które nam za najbezpieczniejsze wskazano, zostaliśmy schwytani przez komendę weteranów austryackich, którzy wyjmiawszy nas do woli, przez jednego tylko żołnierza z bronią odesłali do komendy. Trzeba wiedzieć że istotnie ogłoszony był dekret wieszania tych, którzy tajemnie granicę przebywają, lubo ile mi wiadomo do żadnej podobnej egzekucyi nie przyszło. Zatém prze strach nasz był nie mały. Dwaj młodzieńcy mający cokolwiek więcej doświadczenia żołnierskiego i ducha, niż tylko poetycznego uniesienia ku stwierni ojczyźnie byliby pewno znaleźli sposób pozbycia się jednego żołnierza, nie związano nas bowiem jak to czyniono w podobnych zdarzeniach, bo obadwaj byliśmy dobrze kulawi od spiesznej i dalekiej drogi, której my nie nawykli. Lecz tenże nad wszystkie spodziewanie sam podał nam ratunek. Przechodząc z nami przez lasek brzozowy, opuścił swój karabin, a długo zapatrując nam się w oczy, rzekł nakoniec: Wy sem welkij kriwdy Cesarowi ne zrobite. Nie zrozumieliśmy do czego to dąży, aż gdy nas spytał czy mamy wiele pieniędzy. Mój towarzysz miał przeszło dwieście reńskich, ja kilkanaście, bo o czterech

dukatach zamilczałem, kazał je sobie złożyć cośmy natychmiast uczynili, odrachował i po cztery reńskie obudwom oddał, resztę z zimną krwią do kieszeni chowając powtórzył. Wy sem Cesarowi wielkiej krzywdi nie zrobili, możecie pójść do czarta! Rzuciliśmy się jak dzieci na szyję tak szlachetnemu wybawcy, ściskając go serdecznie. Pokazał nam drogę którędy bezpiecznie przejść możemy granicę i życzył najlepszego powodzenia. Jakoż dostaliśmy się w Sandomierskie na ziemię przez Polaków zajętą, którąśmy jak dzicy ludzie całowali z radości. Poniżenie nasze przez tego żołnierza było wielkie, którego moc dopieróśmy uczuli, gdyśmy bezpiecznie już do spoczynku się kładli. Straty pieniędzy wcaleśmy nie żałowali, nie wiem czy ten żołnierz przez względnego komendanta miał zlecenie nas puścić, bo ciężko aby się nie bał kary za swój postępek.

Doszła nas wiadomość iż w tym właśnie czasie nastąpiło zawieszenie broni, że wojsko polskie zwycięzkie w swoim pochodzie do Krakowa weszło, i gdyby nie to zawieszenie przez Napoleona zrobione, całą Galicyę zająćby mogło

Ruszyliśmy więc do Krakowa i po drodze znaleźliśmy łatwo sposobność jechania gdy zewsząd młodzież obywatele a nawet kobiety wszystko radością upojone także ciągnęło.

Jak ja się czułem szczęśliwym uwolniony od więzów nauczania i uczenia się, tak wszystko widziałem w około siebie szczęśliwe wyswobodzone z pod obcej przemocy i nadzieją świetnej Polski przyszłości.

Rozliczne dowcipy przeciw Niemcom, powiastki o różnych dowodach waleczności wojska, a więcej jeszcze o cudach Napoleona nad Dunajem, każdy nieznajomy jako towarzysz minionych dni więzienia ściskany, szumna wesołość, otwartość równość stanów, jednem tylko uczuciem zajętych, wszystkie te cechy ludu odmłodzonego i naszą młodość upoiły szczęściem nieporównanem. Bawiono się i częstowano nie tylko po dworach, ale w karczmach i na gościńcu, obywatele przed wojskowych i nie wojskowych z pod der dobywali butelek, wykrzykując niech żyje ojczyzna Każdy miał jakąś nową mądrość pomyślną a ta była powodem nowego zdrowia, nowych uścisków.

My nowicyusze w tém wszystkiem przyglądaliśmy się jak mogli, by się także jakim słówkiem odznaczyć i swoje uczucia dać poznać.

Wszedłszy do Krakowa odurzeniśmy zostali wesołym zgiełkiem ludu wszelkiego stanu po ulicach. Cały rynek zajęty przez wojsko, na nim obozujące dawny oficerowie, prości żołnierze, bogaci kupcy szlachta, chłopy wszystko cieszyło się wzajemnym siebie widokiem zachwycone bo się Polakami widzieli, kupcy obywatele siedzieli na krzesłach z pałaszami na straży przed kwaterami Generałów lub rządowemi domami; obok nich kosze z winem i wędliny na serwetach rozłożone, znajomi i wojskowi zapraszani, raczyli się, wznosząc zawsze okrzyki „niech żyje Polska!" Napoleon Wielki książę Józef. Żołnierze rozłożeni byli w budach zwykle dawniej na jarmarki przyrządzanych mając do syta przynoszonej żywności i trunków. Obok starych oficerów na których znać było trudy wojenne, wyszarzane mundury i rzadkie naówczas krzyże polskie lub legii honorowej, tyleż jeżeli nie więcej widać było nowych rycerzy w rozmaitych mundurach, a nawet zdala słychać ich było po

brzęku długo rozpuszczonych szabel. W oknach rynku wszędzie widać było oficerów i żołnierzy młodych i starych matrony i dziewice, wszystko w rodzinnej poufałości i weselu. Cały ten zajmujący obraz ćmił tylko widok wojska rossyjskiego, które jak wiadomo starało się w tej samej chwili wejść do Krakowa, od Podgórza, w której dnia zwycięzcy Polacy od Kleparza weszli i Polacy mieli swój główny odwach w Ratuszu, oni obok ku kościołowi Panny Maryi. Zaciągowi na wartę przypatrywał się tłum ludzi, zmiance zaś straży moskiewskiej chłopcy uliczne podrzeźniały. Sztywność i niemota żołnierza carskiego dziwnie odbijała od swobodnej wesołości naszych żołnierzy. Cel przybycia tych gości nieproszonych ani przyjaciół ni nieprzyjaciół w chwili wylania się patryotycznego był dla ludu niepojętym. Zaczepki żołnierzy, wyzywania między oficerami wojsk obudwu były cogodzinne. Atoli Xiążę Józef przez pełne grzeczności obejście się z dowódzcą młodym Suwarowem z umysłu publicznie okazywane, potrafił utrzymać potrzebną harmonię, bo w tym szale uczuć narodowej wolności, żądze, rozkazy i policya nie mogłaby była nieprzyzwoitościom zapobiedz.

Spotkaliśmy wiele naszych kolegów i znajomych czę-
ścią już od r: 1806 w wojsku będących, częścią świeżo
przed nami przybyłych, wielu co jeszcze sobie pułków nie
wybrali, lub nie mogli doczekać się munduru. Strwoże-
ni zostaliśmy wieścią że dla natłoku roślejszych, może
już przyjęci nie będziemy. Nakoniec dowiedziałem się
iż Reklewski Wincenty, niegdyś spółuczeń brata w Aka-
demii krakowskiej, który w r. 1806 wszedł do wojska ko-
menderuje kompaniją artyllerji. Znałem go nieco a wię-
cej jeszcze mój towarzysz jako Sandomierzanina i sąsia-
da swojego. Nie wiele się namyślając udaliśmy się
do niego, z oświadczeniem iż pod jego rozkazami pra-
gniemy służyć ojczyźnie. Pojrzał na nas na poł uśmie-
chem, na poł z litością co bardzo nas entuzyazm
osłabiło. Nakoniec spytał: czy umiemy pić wódkę, ży-
da za brodę targać, i coś trzeciego. Reklewski nie miał
wtedy lat jak 26, czerstwy, twarzy sarmackiej, rumiany,
oczu pełnych życia, a przy zapale rycerskim malowa-
ła się na czole jego niewypowiedziana dobroć i szlache-
tność duszy. Upojony był wtedy szczęściem, jakiego
tylko polski młodzieniec dosięgnąć może, bo walczył

zwycięzko po Sandomierzu w ziemi swojej rodzinnej, bo wszedł do Krakowa w którym zawsze o wybawieniu go marzył bo razem i krzyżem kawalerskim i stopniem kapitana artyllerji zaszczycony został, i tak go rodzice i siostry do Krakowa witać przybyły. Żart powyższy, który nam się zdał niewczesnym był tylko wyrazem tonu wojska podówczas, bo Reklewski aż nadto był znany z dziewiczej swojej skromności i łagodnego obejścia się z ludźmi. Wśród rozmowy przysunął się do nas sędziwy w kontuszu Ojciec jego i zawołał: zapisz ich kapitanie, wyrosną się w obozie, a przez dwa miesiące zawieszenia broni poduczysz ich nabijać armaty. Stało się tak iż nas zapisano i pozwolono sprawić mundur artyllerji.

Szczęśliwi i dumni po uczynieniu tak ważnego kroku i chcąc się polskim obyczajem z tego powodu uraczyć, poszliśmy do cukierni dla nabrania jak mówią fantazyi, ale miło mi wspomnieć jak mało jeszcze obudził zepsucie, doszło, gdyśmy nieco innego jak po kilka szklanek orszady wypili, napój który za prawdę mówiąc pierwszy raz skosztowałem.

„Otrzymaliśmy kwaterę razem z trzema starymi żoł-
nierzami od tyłu w izdebce ziemnej i wilgotnej o jakie
w Krakowie nie trudno. Z początku znosić musieliśmy
żarty i przymówki żołnierzy, który niewiele mieli wzglę-
du dla nas, nie dla tego żeśmy byli rekruci, ale że stu-
denci nie zdolni tornistra udźwignąć. Nasza łagodność,
poszanowanie dla ich zasług, łatwo nam ich zjednały,
żeśmy mieli w nich doradców i nauczycielów w nowym
naszym zawodzie.

Ten początek zawodu naszego zasmucił się nieco
wypadkiem nieprzyjemnym, gdy jeden z ochotników
z nami na kwaterze stojący nas i spółżołnierzy naszych
okradł z lichych zasobów. Schwytany karanym był
według zwyczaju trzewikami przez wszystkich żołnierzy.
Po ukończeniu tak nowego dla nas obrzędu sierżant, któ-
ry nim dyrygował, miał mowę do całej kompanii, prze-
ciw kradzieży, a zwracając szczególniej do nas nowo zacią-
żnych swą mowę, ostrzegł że wszyscy tak karani będą w ra-
zie przestępstwa dodając z ironią: choćby szlachta albo studenci.
W kilka dni po tym wypadku dla nas obudwu kwatera
w domu publicznych kobiet, który wtedy przy natłoku wojsk

polskich i rossyjskich jedyny był na cały Kraków i który dzień i noc odwiedzany był najwięcej od pijanych gości. Przy jednem wejściu jedne tylko drzwi nas dzieliły, od miejsca bezeceństwa. Obrzydliwość sama była ratunkiem naszej niewinności i te nieszczęśliwe kobiety uważały nas jak dzieci, nie dozwalając sobie nawet żartów z tego że w mundurach naszych i przy pałaszach wcale nie chcieliśmy za dzieci uchodzić. Z miejsca zepsucia nie tylko uszliśmy szczęśliwie ale i wstręt na zawsze uczuli od miejsc podobnych.

W tym jednak domu napisałem szumną odę na dzień imienin Napoleona, które w Warszawie najuroczyściej obchodzono, nie tyle szczęśliwy z tego że pierwszy raz moje wiersze drukowałem, ile że dla wiadomości wszystkich moich znajomych mogłem się podpisać Kanonier. Z tej Ody tę miałem korzyść, iż brat mój Andrzej które mu w ręce wpadła, dowiedział się o mojem wejściu do wojska i listem zawiadomił że równie wszedł ze Lwowa do 16 pułku piechoty i stoi w Wawrzeńczycach w wiosce niedaleko Krakowa. W tej chwili udałem się do kapitana z prośbą o urlop i biegłem wypytując się wszędzie

po drodze gdzie Wawrzeńczyce, gdzie pułk 16^sty?..........

W Warszawie wystąpiłem najpierwej z Elegią na wprowadzenie zwłok X. Poniatowskiego, którą na dzień tego smutnego obrzędu dałem do druku. Niespodziewane powodzenie tej poezyi winienem więcej powszechnemu wówczas uczuciu publiczności, a niżeli mojemu talentowi. Mieszkańcy Warszawy ze łzami spieszyli za rogatki powitać szczątki nieszczęśliwych rycerzów, zwłoki wodza swojego prowadzących. W kościele i po ulicach widziałem egzemplarze mojej Elegii w ręku mężczyzn i niewiast średniej klassy co bardzo mojej próżności pochlebiało. Jednakże czuć mi się dała nadętość mojej pracy, skoro na tymże obrzędzie kazanie Woronicza słyszałem. Płakało na tem kazaniu rycerstwo lud i Panowie i ja rzewnie płakałem w jednej apostrofie Woronicza widziałem stokroć więcej czucia i poezyi niżeli w całej mojej Elegii. Jednakże zachwiałem się w tej rzetelnej skromności, gdy w parę dni drukarz Dąbrowski, nie tylko mi odniósł dane na druk pieniądze, ale nadto złożył mi kilka dukatów, zeznając iż nam się obudwom nadspodziewanie powiodło i że moję Elegię po trzeci raz kazał odbijać. Kudlicz umiał ją całą

na pamięć i gdzie tylko znalazł sposobność z właściwém sobie czuciem i rozumieniem deklamował, mnie zaś zakazał abym do czytania wierszy nigdy ust nie otworzył, gdyż on najlepiéj mógł czuć jak mało miałem daru do tego. Elsner ułożył do téj poezyi muzykę, a Kudlicz na jednym muzykalnym wieczorze, deklamował ją przy towarzyszeniu orkiestry, przed liczną publicznością. Usilnie potém zajmowaliśmy się z Elsnerem i Kurpińskim tą myślą, ażeby do zabaw wieczornych wprowadzić deklamacye o ile można z muzyką. Poezya dobrze deklamowana w licznem zebraniu, przy towarzyszeniu muzyki przybiera wszystkie własności, któremi czarować może i to można uważać za najlepszy środek do jéj zamiłowania w powszechności. Jakoż po kilku podobnych wieczorach wielu zaczęło smakować w poezyi tych, nawet który przeciw niéj uprzedzeni byli. Lecz publiczność polska, w któréj obrazą uczuć narodowych niczém być nagrodzoną nie może, okazała jawnie swój niesmak gdy deklamacya podobna daną była na benefis Dmuszewskiego w tak zwanym Quodlibet, gdzie wśród wyjątków ze scen komicznych deklamowaną była

Elegia na zgon X. Poniatowskiego. Odtąd podobne de-
klamacye zniesione zostały, w wieczorach muzykalnych,
później zaś surowość cenzury teatralnej i wszelkich zabaw
publicznych, których duchem było żadnych narodowych
wspomnień nie dopuszczać nie dozwalała wskrzesić
tej niewinnej zabawy.

Tej okoliczności winienem poznanie się z Kanterberym
Tymowskim, z którym przez kilka lat najprzyjemniejsze
chwile pędziłem. Równy ze mną w wieku, wyższy wycho-
waniem i wiadomościami, miał znakomity talent do
poezyi chociaż w ocenieniu Pisarzów byliśmy sobie z począ-
tku na głowę przeciwni. Cenił nadewszystko Horacyusza,
nigdy o nim bez zapału nie mówił, i wiele bardzo korzy-
stałem gdyśmy razem Horacyusza, Tybulla i Propercyusza
rozbierali, gdyśmy sobie po połowie losem wyciągniętych
Elegii wierszem bezrymowym tłomaczyli. Wielbiąc wspólnie
starożytnych, nie mogliśmy się względem nowych pisarzów
zgodzić. Tymowski był nieprzepartym wielbicielem Woltera,
którego ja nienawidziłem, on mało znał pisarzów niemie-
ckich i według zwyczajów starszych Literatów niemi po-
gardzał. Ponieważ T...... kochał lub nienawidził Pisarzów

zawsze tyle o ile się ich płody wolności religijnej lub politycznej tyczyły, ztąd przywiązanie jego do Woltera chociaż z czasem przekonał się o jego słabej poetycznej stronie. Temi samemi przymioty zajął go Szyller, który przez swoje poezye wiele na jego szlachetny charakter miał wpływu, kilka moich przekładów z Szyllera dla niego zrobionych tak go zajęły, że go odtąd równo z Horacyuszem czytywał, przekładał i przeciw napaściom naszych mniemanych klassyków żarliwie bronił. Dotąd był T..... anakreontem wesołym jak Horacyusz Lirykiem, lecz Szyllera poznawszy poważył się poważać stronom wysokie i szlachetne uczucia. Gdy jego zamiłowanie prawa, narodowości i t.p. zjednały mu wysoki u młodzieży szacunek i jak dawniej wielbiono jego lekkie stołowe pieśni, które istotnie w swoim rodzaju były wyborne, tak z większym niżówne zapałem powtarzano jego pieśnia pełne szlachetnych uniesień. — Gdy długi czas nad tłomaczeniem Wolterowskiego Mahometa pracował i przywykły do zwięzłości Horacego z deklamacyjnym stylem tragedyi francuzkiej nie mógł przyjść do ładu radziłem mu wziąść w pomoc

przekład niemiecki Goethego. Odtąd zaczął T.....cenić Goethego i uwielbiać talent z jakim tenże Mahometa umiał Niemcom przyswoić. Gdyśmy potem tegoż Fausta z Berlinchen i Ifigenię czytali, które to sztuki tyle się od Mahometa co same od siebie różnią, otrząsaliśmy się coraz więcej z jednostronności smaku.

Odtąd T..... uważał Francuzkich Poetów więcej za ludzi z któremi się przez zwyczajne stosunki zaznajomił, aniżeli za kochanych swojego serca przyjaciół. T.....był w całem znaczeniu tego wyrazu poetą, w pewnych chwilach usposobienia pisał z nadzwyczajną łatwością.. Anakreotyki jego jeżeli wszystkie będą kiedyś zebrane stanowić będą odrębny T.... tylko właściwy rodzaj. Jest w nich wiele wynalazku i zwięzłości. Później prawda zbyt zawierzył swojej łatwości w wyszukiwaniu coraz nowych obrazów do myśli zawsze jednakich i zbyt starał się Łacińskie przekładnie polskiej liryce przyswoić. Z niewypowiedzianą łatwością w niedługim przeciągu czasu napisał poema satyryczne na wzór Dunsjady mające za cel młodych a pełnych zarozumienia wierszopisów. Bohaterem tego Poematu jest G.. M.. W.. (Gerard Maurycy Witowski:)

który naśladując P. Juy w Pustelniku z Krakowskiego Przedmieścia miał nieszczęście, iż żadnego zamiłowania u czytelników zjednać sobie nie umiał.

Chojność i życie według Horacyusza były cechą T.... znał on świat jak mówią wielki, lecz obok tego tak prostą miał duszę, iż najlichszy trefniś mógł z niego najwyraźniej żartować i był istotnie często celem zabawy tych który skłonnościom o jego odpowiedali przymiotach najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Żywy, miły i dowcipny między ludźmi, który skłonnościom jego odpowiadali, stał jak sądzony w gronie tych, u których zewnętrzny pobór był wszystkiem. W sporach nie umiał placu ustąpić i aż do zaciętości bronił zdania swojego. Gdy raz w mojem mieszkaniu czytaliśmy spólnie życie Woltera przez Condorseta przyszło do takiej sprzeczki, iż wyszedł z pokoju z oświadczeniem iż nigdy u mnie nie postanie. Szczęściem i w zapale wyszedł bez kapelusza i na ulicy dopiero się spostrzegł. To zdarzenie zmieniło jego humor, wrócił uściskaliśmy się serdecznie i więcej o Wolterze nie było mowy. Tymowski uwielbiał Stanisława Potockiego szczególniej w czasach, gdy tenże przez podstępy

niewdzięcznych łaskę Monarchy i Ministerstwa Oświecenia postradał. Mimo iż był w Radzie Stanu Wice-Referendarzem pisał śmiało poezye z tej okoliczności i objawiał zdania wbrew duchowi, jaki wprowadzać zaczęto. Nawet gdy mu powierzono cenzorstwo pism peryodycznych umieszczał poezye własne, którychby żaden cenzor w owym czasie nie śmiał przepuścić. Nie było to z jego strony pochwałością, lecz dusza jego cnotliwa nie była w stanie dostrzegać tak nagłej zmiany systematu Rządu. W skutku układów familijnych ożenił się T.... przeciw własnej i swej żony skłonnościom. Był to cios dla jego talentu, a więcej jeszcze dla szczęścia domowego do którego tyle był zdolnym, gdyby był znalazł serce swojemu odpowiedające. Przymuszony żyć z wystawnością, spraszając w dom swój najdostojniejsze w Stolicy osoby, wśród świetnych zabaw zatrute mając serce niesmakami domowemi i wydatkami, które możność jego przechodziły, stał się pastwą szydzących gości i natręctwa dłużników. Od ożenienia jego zerwały się nasze przyjacielskie stosunki mimo że T.... był zawsze dla mnie jednaki, wszelako nie śmiałem

mu towarzyszyć przy wielkim świecie jaki go zaczął ota-
czać. Nie długo zmuszony był oddalić się na wieś przy-
stąpić do rozwodu, który własnie pozyskał. W dzisiejszych
okolicznościach stracony on jest dla kraju, lecz zdolny
używać szczęścia domowego w wiejskiej zaciszy, którego
z serca mu życzę.

. . . .

Julian Kolberg

Nie znałem w życiu mojem człowieka z cichszym umy-
stem, pełniejszej gołębiej prostoty jak był Julian Kolberg
Chrystus spoglądając z nieba na dusze tyle do niego się
zbliżające, czuje zapewne boską nam niepojętą rozkosz.
Kolberg przybył do Polski w czasie zajęcia Warszawy
przez Prusaków jako geometra, a po utworzeniu Xięstwa
Warszawskiego wszedł w Polską służbę publiczną jako
człowiek zdatny i prawy. Powołany do wykładania
w Uniwersytecie Topografii i Niwellacyi żył ze mną
w ścisłej przyjaźni do śmierci. Kolberg pisał wiele
Poezyi w języku niemieckim, największą część z peryo-
dnych zdarzeń na uroczystości kościelne, rodzinne i wolno
mularskie. Wszystkie tchnęły ową anielską czystością
uczuć, ową tęsknotą do wyższego świata, a pisanie jak

zwykle do okoliczności wielki czynił skutek. Po słuchaniu jego poezyi śpiewanych każdy czuł się w błogości przeniesionym w pogodne krainy, każdy czuł się w błogości i uroczystém uniesieniu moralném. Oczy jego łagodnym blaskiem przenikające, zwiastowały w nim poezyę, któréj żaden język, instrument, dłuto, i pędzel wyrazić nie zdoła. Kiedym się w oczy jego wpatrywał, gdy czytał lub mówił z zapałem, utwierdzałem się zawsze w przeświadczeniu, że jest nieśmiertelna dusza w człowieku, że tu na ziemi w milionnej części nie jest w stanie objawić tego, co w niéj tkwi i wkrótce pójdzie opatrzyć się w lepsze narzędzia nad nasze pięć zmysłów. W obejściu swojém miał cierpliwość, wytrwałość i łagodność, obok najpowszechniejszego u Niemców uczucia sprawiedliwości (:Gefühl des Rechts:) Żadna obmowa, obraza, namiętność nie przylgła na chwilę do téj czystéj duszy. – Miłośnik poetów szczególniéj Jean Paula i Herdera, mało mógł się im oddawać, będąc zajęty pracą nad mozolnemi mappami i rachunkami. Otoczony sześciorgiem dzieci, w szczupłem pomieszkaniu, między mnóstwem kart i instrumentów mierniczych

pracował cierpliwie z najsłodszą rezygnacyą od poetycznej swobody i widoków natury, które tak lubił. Wydawał mappy Królestwa Polskiego mozolne a bardzo potrzebne dzieło porównanie miar i wag, ogłaszał nowe wynalazki w miernictwie. Wszystko to jak mało dochodu, tak wiele kosztowało go pracy i zdrowia, lecz jako Professor miernictwa uważał za świętą powinność tém się zajmować. Tłumaczył niektóre Poezye Karpińskiego i moje, umieszczając je w dziennikach niemieckich za granicą. . . . .
. . . .

Ksiądz Franciszek Szaniawski professor Uniwersytetu Warszawskiego (Ułomek.) ... Był to mały
szczupły staruszek znany w Warszawie ludziom każdego stanu i wieku, skrzętny jak pszczółka, z równém zajęciem spieszył tu na prelekcyę kodexu, tam na śmierć dysponować, tu dzieciom zawieść cukierków, na radę familijną, na sessyę uczonych, tam ochrzcić dziecię ministra, tu dawać ślub wyrobnikowi, tam artykuł do gazet. Znał stosunki familijne połowy miasta, a jako Duchowny i prawnik urzędnie

był pożądanym doradzcą. Towarzyski, rad był z wszystkiemi dzielić tak zabawy jak i frasunki. Wszędzie apostołował świętość małżeństwa, najwięcej się przywiązywał do domów gdzie wiele dzieci. Po kurcie lub kazaniu, nie minął domu gdzie mógł, jak mówił, choć na chwilę rozerwać się z dziećmi. Kochajmy się, pracujmy i bądźmy weseli, nie przestawał wykrzykiwać tak z ambony jak przy stole przyjaciół i ludzie żartobliwi nazywali go wyrazem kochajmy się. We wszystkiem co czynił znalazł źródło zabawy, zdaje się że mnóstwo liczone swoje zatrudnienia różnej wagi uważał jak dzieci się za zabawę i ciekawe zajęcie umysłu. Gdy skończył kazanie na otwarcie sejmu, czekała go już bryczułka, na której spieszył z innem kazaniem, na odpust wiejski o parę mil zaproszony od ubogiego Plebana. Podczas Jubileuszu w Warszawie mówił kazania we wszystkich kościołach. Raz koło czwartej po południu powitał mię, mówiąc: zobaczymy się nie długo, bo już dziś jedno mam tylko kazanie! We wszystkich czynnościach swoich tak był punktualnym, że gdy w 60tym przeszło wieku podróż do Rzymu przedsięwziął, prosto z lekcyi w Uniwersytecie

siadł do pojazdu i w sam dzień otwarcia kursu powrócił. Kupił był bardzo skromny domek z ogródkiem na przedmieściu Warszawskiem, tam wstając najraniej gotował się do dziennych obowiązków, na wieczór spraszał przyjaciół prawie codziennie dobierając stosownie ludzi różnych humorów i Stanów, a najwięcej dzieci. — Po śmierci zmarłego w więzieniu, jako więźnia Stanu, Xsiędza Dembka, jako exekutor jego testamentu, miał u siebie złożone po nim kilkanaście tysięcy. Te niewiadomym sposobem zginęły. Mimo mocnych poszlaków, nie śmiał sługę go badać, ani oddalić i dwom tylko przyjaciołom ten wypadek objawiwszy, przedał ulubiony ogródek na pokrycie téj straty, resztę najskromniéj żyć porzucając z pensyi oszczędził. Miał także wioskę w dzierżawie o kilka mil od Warszawy, jedynie dla zabawy przyjaciół i dobrych uczynków. Piękny ogród, ryby w stawie, owoce w ogrodzie, zwabiały tam na zabawę familię z dziećmi. Założył zaraz szkółkę dzieci wiejskich w której i sam ile razy przybył, nauczał.